MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 8 WARSZAWA, 1 KWIETNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

GRANICA RENU

NA WIOSNĘ r. 58 przed Chrystusem wyruszył Cezar na podbój Galji. Południowa część tego kraju była już Prowincją rzymską, reszta cieszyła się niezależnością polityczną. Gallowie byli narodem zdolnym i wojowniczym. Mieli kraj piękny: bogaty, posiadali wielkie zalety umysłowe i moralne, usposobienie rycerskie, rozwinięte życie rodzinne, bogobojny stan kapłański, ducha poetyckiego. Brak im jeno było zdolności państwowo-twórczych, jakby się dziś powiedziało. Plemiona gallijskie walczyły między sobą o pierwszeństwo, a wodzowie kierowali się w swem postępowaniu raczej ambicjami osobistemi, niż dobrem całości. Nawet wobec nieprzyjaciół nie mogli się zdobyć praojcowie Francuzów dzisiejszych na jednolite działanie i na zgodę wewnętrzną.

A nieprzyjaciele byli potężni. Na południu i wschodzie państwo rzymskie; na zachodzie i za Renem plemiona germańskie, które z zazdrością i chciwością patrzyły na piękny, słoneczny, żyzny i wesoły kraj nad Sekwaną, Rodanem, Luarą i Garonną. Rzym posiadał znakomitą organizację państwową, doskonałe legjony zaprawione w bojach, skarb zasobny i ludzi talentów państwowych i wojskowych. Germanie byli narodem bitnym, okrutnym, posłusznym wobec swych przywódców, wytrzymałym, moralnie zdrowym, biednym, chciwym zdobyczy i zamieszkującym kraj nie tak urodzajny, jak Galja, bardziej dżdżysty i mniej słoneczny. Rzym siłą ciążenia naturalnego i przez konieczność zabezpieczenia swych granic był pchany do zajmowania coraz dalszych obszarów; germanowie szukali ziemi i bogactw, bo dla ich szybko rozradzających się plemion dawne siedziby nie wystarczały. To też, gdy Cezar opuszczał granice Prowincji rzymskiej i posuwał się na północ w głąb Galji niezależnej, na zachodzie Germanowie przeszli Ren i pod wodzą Ariovista zajmowali ziemie gallijskie.

Cezar pokonawszy Helwetów, którzy byli wyruszyli ze swych siedzib na terytorjum dzisiejszej Szwajcarji i szukali nowych ziem w Galji, pod Bibracte (dzisiejsze Autun), musiał zwrócić uwagę na niebezpieczenstwo germańskie. „Sądził — jak sam powiada w Komentarzach,—że byłoby rzeczą niebezpieczną dla Rzymian, gdyby Germanowie stopniowo przyzwyczajali się przekraczać Ren i zjawiać się w wielkiej sile w Galji; sądził, że gdyby te ludy barbarzyńskie i drapieżne zajęły całą Galję, to z pewnością za przykładem Cymbrów i Teutonów, dotarłyby do Prowincji rzymskiej, przeszedłszy zaś ją, ruszyłyby na Italję, tembardziej, że między Galją rzymską a Sekwanami był tylko Rodan. Oto czemu postanowił zapobiec jaknajprędzej. Ariovist zresztą stał się tak arogancki i pewny siebie, że już nie można było tego znosić".

Ułatwili Cezarowi zadanie sami Gallowie. Wobec niebezpieczeństwa germańskiego nie zdołali się oni zdobyć na jedność działania. Zamiast połączyć się i stanąć jednolitym frontem wobec wroga przechodzącego Ren, plemiona gallijskie zaczęły walczyć między sobą o pierwszeństwo. Sekwanowie i inni postanowili wyzyskać przyjaźń Germanów dla wyniesienia się ponad plemiona bratnie. Wówczas ich współzawodnicy w pierwszej linji Eduanie udali się po pomoc do Cezara. Losy Galji zostały w ten sposób rozstrzygnięte i czekało ją bądź zalanie przez Germanów, bądź opanowanie przez Rzym. Istnienie narodowe Gallów zostało przesądzone — w razie zwycięstwa Germanów byliby byli przez nich wytrzebieni, by zrobić miejsce dla posuwających się wciąż ze wschodu nowych hord germańskich, w razie zwycięstwa Rzymu, co też nastąpiło, zostali zromanizowani.

Cezar skorzystał skwapliwie z nadarzającej się okazji i postanowił wystąpić czynnie w obronie niezależności Galji, dziś powiedzielibyśmy w obronie prawa tego narodu do „stanowienia o sobie". Pozwolił na zwołanie zgromadzenia przedstawicieli plemion, będących zwolennikami szukania pomocy Rzymian, pozwolił nazwać to zgromadzenie zgromadzeniem przedstawicieli całej Galji i przyjął uroczyście jego wysłanników.

Przywódca Eduan, Diviaticus w te słowa przemówił do Cezara (cytujemy wciąż „Komentarze"),

prosząc go o opiekę i pomoc: „Ariovist zasiadł na ziemi Sekwanów i kazał sobie oddać naprzód trzecią część ich ziemi, która jest najlepszą w całej Galji, a nastepnie żądał jeszcze trzeciej części dla osiemdziesięciu tysięcy Hurudów, którzy potrzebowali terenów. W ten sposób w ciągu niewielu lat Gallowie byliby zupełnie wygnani ze swej ziemi, a wszyscy Germanowie przeszliby Ren. Bo nie można zrobić żadnego porównania między ziemią germańską a ziemią gallijską, podobnie jak nie można zrobić porównania między sposobem życia Germanów a sposobem życia Gallów. Zresztą Ariovist od czasu swego zwycięstwa pod Megatoterrą sprawował władzę w sposób bezczelny i barbarzyński... Był to człowick popędliwy, zarozumiały i okrutny; nie można już było dłużej cierpieć jego ucisku..."

Cezar wysłuchał łaskawie przemówień, obiecał interwencję i posłał natychmiast posłów do Ariovista, żądając, by wraz ze swemi wojskami ustąpił za Ren.

Nastąpiło później pamiętne spotkanie dwóch wodzów w pobliżu dzisiejszego miasta Besançon. Spotkali się na wzgórzu konno.

Cezar powołał się na wszystkie dobrodziejstwa, jakie Rzym wyświadczył Ariovistowi, następnie oświadczył, że Eduanie byli przyjaciółmi Rzymu, który nie ma zwyczaju opuszczania swych sprzymierzeńców w nieszczęściu, w końcu zażądał, by Ariovist przynajmniej zobowiązał się do tego, że zwróci wolność Galji i nie pozwoli innym Germanom na przechodzenie Renu.

Ariovist przemówił tak, jak przemawiali zawsze i przemawiają po dzień dzisiejszy politycy germańscy: „Przeszedł Ren nie z własnej inicjatywy, lecz na zaproszenie Gallów. Trzeba było, by ci ostatni dali mu wielkie korzyści, zrobili wielkie nadzieje, by go skłonić do opuszczenia swego kraju i swoich blizkich. Ziemię w Galji otrzymał od Galijczyków... Nie atakował nigdy Galijczyków, lecz został przez nich zaatakowany. Wszystkie miasta gallijskie połączyły się by go zgnieść, on jednak pobił wojska ich w jed nej bitwie. Jeśli chcą odwetu, to gotów jest do wojny... Jeśli sprowadzał ciągle Germanów do Galji to dla swej ochrony, a nie dla atakowania kogokolwiek; przyszedł tylko dlatego, że go proszono; nie był napastnikiem, jedynie się bronił (mowa godna Zgromadzenia Ligi Narodów). Był w Gallji przed Rzymianami... Czego chce Cezar? W końcu zawiadomił Cezara, że w Rzymie będą bardzo zadowoleni, jeśli Cezar będzie pobity i zginie w Gallji" (Ariovist miał oczywiście swoich agentów w Rzymie i był wtajemniczony w walki wewnętrzne Republiki).

Tak bodaj nikt jeszcze nie przemawiał do przedstawiciela Rzymu. To też Cezar przerwał rozmowę. Wydał bitwę Ariovistowi. „Cała armja nieprzyjacielska odwróciła się tyłem i uciekła, nie zatrzymując się, aż do Renu, oddalonego o jakieś 50 mil" — powiada Cezar w „Komentarzach". Ariovist ledwie zdołał przepłynąć Ren i uratować sobie życie.

Bitwa ta należy do decydujących w historji.

Cezar powstrzymał pochód Germanów na Zachód, prawdopodobnie oddalił o kilka wieków zniszczenie i upadek Rzymu. Dzięki niemu mogło się było utworzyć Imperium rzymskie i dać światu zachodniemu to, co dało — organizację, kulturę i cywilizację.

W bitwie tej zdecydowały się losy plemion gallijskich. Zamiast zginąć i zrobić miejsce dla zwycięskich germanów, zromanizowały się one i dały Europie królestwo Francji z jego kulturą łacińską, królestwo, które przez wieki całe było spadkobiercą, stróżem i kontynuatorem tradycji rzymskiej.

Wreszcie przez tę zwycięską bitwę została ustanowiona granica Imperjum rzymskiego na Renie. Cezar pozostawił część Germanów na lewym brzegu Renu, koło Worms i Strasburga, lecz przeznaczeniem ich było — w charakterze lenników Rzymu — trzymać straż na Renie przeciwko swym współplemieńcom.

* * *

Minęły wieki i wieków dziesiątki. Runęło Imperjum Rzymskie. Na jego gruzach powstało wiele narodów i państw. A walki na Renie o granicę, ustaloną przez Cezara, trwają bez przerwy. Dziedzictwem krwi i kultury spadł obowiązek walczenia na Renie na Francję. Walki te zaś toczyły się nie tylko o istnienie Francji i jej granice, lecz także o istnienie kultury łacińskiej, o utrzymanie tradycyj Rzymu starożytnego, o wpływy między światem katolickim a protestanckim.

Na początku wieku XX, w niespełna dwa tysiące lat po starciu Cezara z Ariovistem odzyskała Francja granicę wojskową na Renie. Lecz świat germański zgodnie z dziejowem swem przeznaczeniem szykuje się do nowego ataku. Niemcy posiadają wciąż zadużo ludzi, wciąż odczuwają brak ziemi, a podobnie jak za czasów Cezara „nie można zrobić żadnego porównania między ziemią germańską a ziemią gallijską, podobnie jak nie można zrobić porównania między sposobem życia germanów, a sposobem życia Gallów". Piękne są nieba i ziemie francuskie; urodzajna gleba, łatwe na niej życie; miejsca wolnego dużo.

Podobnie też, jak dwa tysiące lat temu, nie ma zgody między potomkami Gallów. Tylko, że dziś nie walczą między sobą plemiona różne, lecz przedstawiciele różnych wyznań politycznych. Są może ludzie którzy chcą zapewnić niezależność swego kraju i bezpieczeństwo jego granic przez zgodę z potomkami wojowników Ariovista, nie pomni doświadczeń dwudziestu wieków walk na Renie, nie widząc tego, że droga wyjścia prowadzi tak samo, jak w I wieku przed Chrystusem przez stanięcie ramię przy ramieniu z współdziedzicami Rzymu starożytnego.

Francja przez długie wieki niosła na swych barkach ciężar, wynikający z tradycji rzymskiej, była głównym jej filarem i obrońcą; nie potrzebuje dziś, jak przed dwoma tysiącami lat Galja, okupywać współdziałanie Rzymu ofiarą swej narodowości; trzeba jedynie, by się zastosowała do zmienionej sytuacji politycznej, do niezłomnych konieczności politycznych, wynikających z geografji oraz z faktów natury biologicznej, społecznej i gospodarczej.

W duszy i w organizacji narodu, zamieszkującego kraj na południu od Alp, zaszły na początku wieku XX głębokie przemiany. Pod wodzą człowieka, słuchającego wskazań politycznych najtęższych w ciągu wieków przedstawicieli swego narodu i wpatrzonego rozumem w wielki przykład Cezara, naród włoski pracuje nad tem, by się stać godnym swych wielkich przodków i swej wielkiej przeszłości.

Istnienie całej cywilizacji i kultury, opartych o tradycje Kościoła Katolickiego, oraz o dziedzictwo Grecji i Rzymu starożytnego, zależy dziś od mądrości politycznej, od wysiłku i zdolności do ofiar tych narodów, które są tej cywilizacji i tej kultury bezpośrednimi dziedzicami, lub które, jak Polska, na niej się wychowały i nią przesiąkły.

Zbliża się nowe wielkie, decydujące starcie Cezara z Ariovistem.

VIATOR

KTO PRZYGOTOWAŁ REWOLUCJĘ 1830 R.?

REWOLUCJA 1830 roku — jako temat studjów — nabiera znowu znaczenia ze względu na wyniki najnowszych badań, w szczególności teraz wydanych przez prof. Tokarza i dr. Harbuta.[1]) Prace te, będące obrachunkiem rozporządzalnych dotąd źródeł, wnoszą wiele światła w kwestję przygotowania rewolucji. Z góry jednak uprzedzić muszę, iż prace te mają nierówną wartość. O ile praca prof. Tokarza jest przemyślaną analizą materjału historycznego, ujętą we wnioski, czasem może nadto ostrożne, o tyle praca dr. Harbuta przedstawia tylko wartość obfitego materjału. Wykształcenie prawnicze autora nie zastąpiło tutaj braków erudycji; niedbały styl i zła korekta dopełniły reszty.[2])

Dlatego oprzeć się muszę tylko na pracy prof. Tokarza, dającej mi pewne podstawy do wysunięcia dalszych hipotez. Zaznaczam, że artykuł mój nie wnosi nowych faktów, jest zestawieniem rzeczy znanych, tylko uszeregowanych nieco odmiennie, niż to robiły dotychczasowe wersje. Jest to szereg hypotez, mniej lub więcej śmiałych, mniej lub więcej uzasadnionych, opartych na znanym materjale faktycznym, lecz interpretowanym wedle miary, mającej zastosowanie tylko do towarzystw tajnych.

Tajne związki kierują się swoistemi prawami, nieznanemi w życiu codziennem. W życiu powszednie np. autorstwo jakiejś myśli, jakiegoś projektu przynosi chlubę autorowi, nawet chronione jest specjalnem prawem; w tajnych związkach przeciwnie, — jaknajskrupulatniej jest osłaniane, częstokroć nawet przypisywane innym osobom. Nic dziwnego, gdyż zwykle grozi ono prześladowaniem. Stąd też nieraz za twórców różnych pomysłów i ruchów poczytujemy ludzi przeciętnych, którzy tylko na siebie przyjęli *odium* autorstwa.

Inną tajnych towarzystw osobliwością jest to, że nieraz owoce ich akcji spożywają nie członkowie, ani twórcy, lecz w decydującym momencie zysk cały przypada w udziale satelitom, często nawet dość luźno ze Stowarzyszeniem związanym. Powodem tego jest fakt, iż wykonawcy danej akcji tak są przejęci sprawą, że nie myślą o sobie. Satelici zaś obliczają zgóry korzyści i przygotowują się do zawładnięcia niemi, wypierając ludzi naprawdę zasłużonych. Żaden tajny związek nie jest wolny od satelitów, zwłaszcza gdy zamierza wielką akcję. W takich chwilach następuje zwykle gwałtowny napływ nowych członków, oraz osób z poza związku, różnych „sympatyków“, a wreszcie rycerzy przemysłu, zlatujących się w momencie przewrotu na żer.

Stałem zjawiskiem w tajnych związkach jest dalej dążność do zawierania stosunków i przymierzy z wpływowemi osobami, lub organizacjami podobnego typu i ugrupowaniami politycznemi w kraju, a nawet zagranicą. Chodzi przedewszystkiem o uzyskanie moralnego i finansowego poparcia dla zamiarów. W czasie zaś takiej symbiozy zdarza się często, że organizacje sprzymierzone, a nawet wpływowe osoby nieznacznie ujmują ster całej akcji w swe ręce i naginają ją do swych celów. Odgrywa tu już rolę wartość poszczególnych jednostek kierowniczych, przyczem należy stwierdzić, że organizacje, rządzone zbiorowo przez komitety, są o wiele łatwiejsze do kierowania z zewnątrz, łatwo bowiem interesowani wygrywają ambicje poszczególnych członków. Organizacje potężniejsze, dysponujące znacznemi finansami, mają zazwyczaj dosyć siły, by opanować organizację, szukającą z niemi kontaktu i pokierować nią odpowiednio do swych celów. Kierować zaś można, posługując się czy odpowiedniemi informacjami o sytuacji, dostarczanemi sprzymierzeńcom, czy ostrzeżeniami, wskazówkami i t. p.

*

Praca prof. Tokarza wbrew tytułowi stwierdza, że przygotowaniem rewolucji zajmowało się nie samo sprzysiężenie Wysockiego. lecz stojąca ponad niem jakaś tajna organizacja, którą prof. Tokarz ochrzcił ogólnem mianem epigonów Towarzystwa Patrjotycznego. Organizacja ta, przy pomocy swych członków, formalnie przyjętych do związku Wysockiego, nadawała kierunek pracy związku, kierowała nim, hamowała czasami jego zbyt wybujałe zamierzenia, a częstokroć załatwiała za niego niektóre sprawy, np. wysyłkę emisarjuszy. Wynika więc z tego, że sprzysiężenie Wysockiego było tylko egzekutywą tej organizacji, egzekutywą, powołaną do opanowania wojska i do przeprowadzenia zamachu przy jego pomocy. Mówiąc inaczej: — była to loża wojskowa pewnej organizacji tajnej, działającej poza wojskiem również w społeczeństwie.

Twierdzenie prof. Tokarza, poparte dowodami, obala dotychczasową legendę o spisku podchorążych, opartą na t. zw. pamiętniku Wysockiego[3]), a powtórzoną przez innych, bądź umyślnie przez wtajemniczonych, bądź bezwiednie przez łatwowiernych, którzy wzięli za dobrą monetę wersję Wysockiego. Można wprawdzie się dziwić, że z chwilą, gdy rewolucja się powiodła, Wysocki taił nadal szczegóły jej początku, jednak praktyka nas uczy, że bezpośrednio po zamachu widać tylko podrzędnych wykonawców, główne sprężyny zaś zostają w ukryciu długie lata, a czasem na zawsze.

Prof. Tokarz dowiódł, że rewolucja listopadowa nie była dziełem spisku oficerskiego, zwanego spiskiem Wysockiego, a dzieło jego ograniczało się tylko do nocy listopadowej i to tylko w części obejmującej działania wojskowe.

Czyim że więc dziełem było zmontowanie tego spisku i przygotowanie rewolucji?

---

[1]) Wacław Tokarz. Sprzysiężenie Wysockiego i Noc Listopadowa. Z 44 ilustracjami i 3 planami. Nakład Gebethnera i Wolfa. Dr. Juljusz Stanisław Harbut. Noc listopadowa w świetle i cieniach procesu przed Najwyższym Sądem Kryminalnym (Jeden z największych procesów politycznych w dziejach narodów). Warszawa 1926.

[2]) Wystarczy zanotować, że na str. 14 w wierszu 8 od góry Ignacy Dobrogoyski odbiera sobie życie w więzieniu, w 24 wierszu zaś zaczyna się opis egzekucji nad nim, Łukasińskim i Dobrzyckim. Również „60.000 kosynierów Dembińskiego“, etymologja gór Dynassowskich (de Nassau), rozdzielenie generał-majora Jerzego Fanshave'a na trzy osoby Feneza, Fanshave'a i Jenszowa, zupełna nieznajomość działalności i tendencyj tajnych związków, łączenie reakcyjnych „calderari“ z rewolucyjnemi „carbonari“ — to tylko kilka kwiatków, wybranych dla przykładu. Do tego patetyczne koturny (dostosowane do procesu kanonizacji Wysockiego), wreszcie nie poważne kabalistyczne operacje z liczbą 44.

[3]) Zamieszczony w № 357 „Kurjera Polskiego“ z dnia 10. XII pod t. „Wiadomość o tajnem Towarzystwie, zawiązanem w celu zniesienia Rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem oraz działanie wojenne Szkoły Podchorążych w nocy z dnia 29 na 30 listopada 1830 r.“. Artykuł ten zredagowany został wedle zeznań Wysockiego przez Mochnackiego, Wysocki zaś jedynie podpisem swym nadał mu ważność i wartość swego pamiętnika.

Prof. Tokarz nazywa organizację kierowniczą epigonami Tow. Patrjotycznego i wśród nazwisk jej członków wymienia Sołtyka Romana, Trzcińskiego Franciszka, Zwierkowskiego Walentego, Lelewela Joachima, Małachowskich Gustawa i Juljusza i innych. Mówi on, że niewątpliwie pozostawali oni ze sobą w stosunkach organizacyjnych, odbywali zgromadzenia, utrzymywali stosunki z zagranicą i między dzielnicami podzielonej Polski. Na jednem z takich zgromadzeń w końcu września 1830 r. opisanem dokładnie u Sołtyka [4]), jeden z członków organizacji, nieznany nam z imienia, wystąpił z ciekawym, szeroko pomyślanym planem trójzaborowego powstania, które chciał proklamować dnia 20 października. Mówił on o szybkiem opanowaniu Warszawy, uwięzieniu W. ks. Konstantego, rozbrojeniu korpusu rezerwowego gwardji, natychmiastowem ogłoszeniu dyktatury. Zastanawiał się ten nieznany referent nad przyszłą organizacją wojska, nad operacjami przeciwko reszcie korpusu litewskiego, wreszcie projektował szybkie wtargnięcie do Wielkopolski i Galicji. Wywody mówcy zrobiły duże wrażenie na zgromadzonych, gdyż bronił on swego planu silnie i bardzo rzeczowo. W rezultacie jednak większość odrzuciła projekt powstania trójzaborowego i ograniczyła je jedynie do działań przeciwko Rosji. Do decyzji nie doszło. Postanowiono jedynie zebrać się raz jeszcze. Tyle Sołtyk o zebraniu. Czy drugie zebranie miało miejsce, nie wiadomo, tak samo jak dziś nie można wiedzieć, czy poprzednio odbywały się takie plenarne zebrania związku, który dla krótkości nazwiemy Towarzystwem. Jednak ani na chwilę nie możemy przypuszczać, żeby to było jedyne zebranie, bo wątpię, czyby się znalazł jakikolwiek mówca, choćby jaknajbardziej zapalony do swego planu, któryby go rozwinął tak szeroko i ze szczegółami przed ludźmi pierwszy raz zebranymi. Plan powstania omawiać przecież można tylko wśród ludzi tych samych przekonań, zżytych z sobą i gwarantujących tajemnicę.

Przypuszczać możemy, ze ci ludzie nietylko sobie ufali, ale że sprawę powstania już przedtem rozstrząsali, skoro nawet nie dyskutują konieczności powstania, a tylko zastanawiają się nad jego zasięgiem i terminem. Nie dyskutują również środków wywołania powstania. Tym środkiem miało być sprzysiężenie Wysockiego.

Odkąd istniało sprzysiężenie Wysockiego? Wedle wersji Wysockiego zawiązane zostało ono na przypadkowem zebraniu w mieszkaniu Wysockiego w dniu 15 grudnia 1828. Założycielami jego mieli być podchorążowie: Paszkiewicz Karol, Dobrowolski Józef, Karśnicki Karol, Łaski Aleksander i Gurowski Józef. Następnego dnia przybyli do tego grona jeszcze trzej dalsi podchorążowie, a mianowicie Mochnacki Kamil, Poniński Stanisław i Cichowski Seweryn. Ludzie ci, z których najstarszy liczył 31 lat, najwyższy stopniem zaś w hierarchji społecznej był podporucznikiem, rozpoczęli żywą działalność, krzewiąc ową organizację, wciągając nowych członków, trafiając nawet do posłów sejmowych. Tak przynajmniej podają dotychczasowe wersje. Lecz przyjmowanie nowych członków nie bardzo się udawało. Bardzo szybko pozyskiwano młodych ludzi, równych wiekiem założycielom,—podporuczników, podchorążych. Gorzej było, gdy szło o poważniejszych ludzi. Np. Wysocki namawiając kapitana grenadjerów Kazimierza Paszkowicza, natrafił zrazu na odmowę, dopiero później udało się go wciągnąć do spisku, a i to do końca pozostał niechętnym i trzymającym się na uboczu od wszystkich zamysłów. Tem dziwniejszą rzeczą wydaje się nam wciągnięcie do spisku tak poważnych, a przynajmniej spiskowo wyrobionych ludzi jak Adolfa Cichowskiego (który za spiski Łukasińskiego parę lat odsiedział u Karmelitów, do spisku zaś wprowadzony został przez brata Seweryna), albo Maurycego Mochnackiego, skompromitowanego w „Wolnych Polakach" i wprowadzonego przez brata Kamila, jak smutnej pamięci Adama Gurowskiego, wciągniętego przez brata Józefa, jak Gustawa Małachowskiego, poinformowanego przez podchorążego Karśnickiego, jak wreszcie posłów Zwierkowskiego, Trzcińskiego, co do których przyjęcia wiemy tylko tyle, że Wysocki został wprowadzony do Zwierkowskiego. Zadajemy więc sobie pytanie, co za wyjątkowi ludzie musieli być ci podporucznicy i podchorążowie, jeżeli po tylu spiskowych niepowodzeniach, po takich ciężkich prześladowaniach spiskowców, umieli natchnąć wiarą w powodzenie spisku gołowąsów tylu poważnych posłów, dziennikarzy i byłych spiskowców, — chociaż jednak niebardzo to im się udawało z kapitanami. A przecież taki kapitan Paszkowicz musiał być dobrym znajomym Wysockiego, skoro ten odważył się go namawiać do spisku, lepszym znajomym w każdym razie, niż Zwierkowski, Trzciński czy Cichowski. Czemże to wytłumaczyć?

Jeżeli przyjmiemy hipotezę, że Wysocki tworząc organizację wśród podchorążych, działał z ramienia Towarzystwa, do którego wchodzili Zwierkowski, Trzciński, Cichowski, Małachowski, Mochnacki, możliwie nawet, że Gurowski, wówczas możemy powiedzieć, że nie Karśnicki informował Małachowskiego, nie młodsi bracia wprowadzali starszych, lecz Małachowski polecał Wysockiemu Karśnickiego, Adolf Cichowski brata Seweryna, Maurycy Mochnacki brata Kamila, Adam Gurowski brata Józefa, i że najwyżej młodzieńcy byli łącznikami i posłańcami Wysockiego do tych członków Towarzystwa, którzy ich polecili. Wprowadzenie Wysockiego do Zwierkowskiego i Małachowskiego, wspomniane przez Mochnackiego w t.zw. pamiętniku Wysockiego, jest tylko usprawiedliwieniem przed współczesnymi jego raportów i sprawozdań zdawanych przed kierownikami Towarzystwa. Przy jednem takiem sprawozdaniu Wysockiego u Małachowskiego obecny był podporucznik Nowosielski, któremu pewnie przez to chciano zaimponować związkami z wysoko postawionemi osobami, podobnie jak dla przekonania Paszkowicza Wysocki zetknął go z jakimiś „obywatelami". Na tych zebraniach, zainscenizowanych dla omamienia wątpliwych, omawiano niby cele sprzysiężenia i pozwalano takiemu zaproszonemu gościowi zabierać głos i decydować w sprawach, które już dawno z góry zostały zdecydowane. Zresztą nic w tem nowego, sposób ten praktykowany był przedtem i potem, jest też w użyciu i dzisiaj, jeżeli chodzi o oddziaływanie na ambicję poszczególnych jednostek.

Poza łącznością z Towarzystwem, macierzą spisku wojskowego, spisek ten, prawdopodobnie bez wiedzy swej macierzy, może nawet tylko z głupoty i niewyrobienia jego członków, zaczął szukać kontaktu z oso-

[4]) *Polen, seine Helden im letzten Freiheitskampfe. Nebst einem kurzen Abriss der polnischen Geschichte seit ihrem Beginne bis zum Jahre 1830 von dem Grafen Roman Sołtyk. Aus dem Französischen übersetzt von Heinrich Elsner*. Stuttgart 1834. Autorem planu był prawdopodobnie sam Sołtyk. Przypuszczenie to potwierdza nam jego przypis na str. 93 I tomu stwierdzający, że, chociaż w tajnych stowarzyszeniach nie posługiwano się żadnymi dokumentami, treść owego zebrania tak żywo została mu w pamięci, iż może gwarantować za dokładność swego bardzo szczegółowego przedstawienia. Zresztą z pośród znanych nam z nazwiska członków Towarzystwa, Sołtyk posiadał największe przygotowanie wojskowe i jedynie on był w stanie roztoczyć przed zebranymi plan działań wojennych przyszłej rewolucji.

bami wpływowemi i znaczącemi coś w społeczeństwie. Mamy świadectwo takiego szukania kontaktu w wywiadzie podchorążego Paszkiewicza u starego J. U. Niemcewicza. Krok ten zawiódł zupełnie, wprawdzie Niemcewicz pochwalił dobre chęci, ale ostro i stanowczo potępił zamiar powstania. Nie wiadomo czy nie szukano kontaktu jeszcze z innymi ludźmi poza Towarzystwem, w każdym razie już niemal od swoich narodzin spisek wojskowy zwrócił na siebie uwagę umiarkowanych, z natury rzeczy nie pochwalających jego celów i sposobów działania,

Wedle dotychczasowych wersyj spisek Wysockiego zaraz w w pierwszych dniach swego istnienia natrafił na podobną sobie organizację podporucznika 1 p: p. lin. Zaliwskiego, niedoszłego jezuity, ongiś członka Wolnomularstwa Narodowego. Organizacja ta przedstawiała już pewną siłę w garnizonie warszawskim, choć słów Zaliwskiego o tem, że on posiadał dwustu oficerów, podczas gdy Wysocki miał trzydziestu nie można brać dosłownie. Powstała ona prawdopodobnie równocześnie ze spiskiem Wysockiego, inspirowana zaś była również przez to samo Towarzyrzystwo, co organizacja Wysockiego, dzięki temu też szybko przyszło do połączenia obu organizacyj.

Skąd to przypuszczenie? Podporucznik Wysocki, mający z pewnością krótszą karjerę spiskową niż Zaliwski, nie mniał takich stosunków, ażeby przeprowadzić opanowanie całego garnizonu warszawskiego. Zakres jego działania ograniczał się tylko do szkoły podchorążych, pułku grenadjerów gwardji i sąsiadującego z nim bataljonu saperów, podczas gdy Zaliwski, jako kierownik pływalni wojskowej, służbowo poznał prawie wszystkich oficerów garnizonu, dalej zaś dzięki swoim zaletom werbownika spiskowego łatwiej dawał sobie radę z wciąganiem nowych członków, obełgując ich bez skrupułów i podając im za pewnik to, co chcieli usłyszeć o celach i potędze spisku.

Prócz Wysockiego i Zaliwskiego prawdopodobnie jeszcze i inni oficerowie musieli werbować do spisku, lecz później mniejszemi lub większemi grupkami weszli do złączonej organizacji wojskowej, poddając się po komendę Wysockiego, czy też później Komitetu.

Zaznajomiwszy się jednak z trafnemi charakterystykami prof. Tokarza obu najwybitniejszych przywódców: Wysockiego i Zaliwskiego, dochodzimy do wniosku, że były to miernoty, które nawet u cywilów z Towarzystwa musiały wzbudzać wątpliwości, choćby ze względu na luki w ogólnem wykształceniu. Przecież na kierownika spisku i na przyszłego przywódcę nie wybiera się człowieka „tępego pojęcia, którego cała szkoła uważa za człowieka ograniczonego", jak mówi o Wysockim jego przełożony pułkownik Olędzki, lub też samouka, intryganta, załganego bez miary krętacza, jak Zaliwski. Wprawdzie mundur niweluje bardzo ludzi, szczególniej w oczach cywilów, jednak w Towarzystwie, które potrafiło spisek przygotowywać przez dwa lata, musieli być ludzie na tyle wytrawni, by poznać nicość obu kierowników.

(Dok. n.) JULJUSZ KOZOLUBSKI

POZYTYWNOŚĆ I ORGANICZNOSĆ MYŚLENIA

(Dokończenie)

NIC NIEMA przeciwniejszego organicznemu myśleniu nad doktrynę, odwracającą się od rzeczywistości w jej pełnym treściwym rozwoju, a zatrzymującą się na oderwanych formach myślenia i czucia, które chrzci imieniem „idei", chcąc koniecznie wcielić je, a zapominając, że tworzenie ma niezmienne prawidła, jest mianowicie wręcz przeciwieństwem abstrakcji, z której wypływać nie może, jest syntetyzowaniem.

Człowiek może nietylko rozumieć, lecz tworzyć rzeczywistość, jak widzimy to np. w formach społecznego i politycznego życia—może tworzyć pod warunkiem wszelako, że wolę, czucie i myśl nastroi na ton dodatni, pozytywny, z którego jedynie wyrosnąć może myśl twórcza, że nie zajmie wobec rzeczywistości stanowiska uczuciowo niechętnego, nienawistnego, a myślowo nie będzie się obracał w ciągłych oderwaniach „ideowych", zamiast zgłębiać rozumowe znaczenie i wartość tego przedewszystkiem, co we wszelkich zakresach życia stało się już ciałem.

Kto nie rozumie i nie odczuwa żywo wartości form życia istniejących, obowiązujących, ten ani udoskonalić istniejących, ani nowych żywotnych stworzyć nie zdoła; bo skoro nie rozumie istniejących form, tem samem wogóle nie rozumie życia i jego budowy, więc i działać twórczo w niem nie może.

Jak powiedzieliśmy materjał życia ludzkiego jest wiecznie ten sam—jakkolwiek jest materjałem żywym, więc zdolnym do stopniowego rozwoju sił swoich, które kolejno mogą pewną przewagę zyskiwać i nadawać cechy wyróżniające epokom ludzkich dziejów.

W każdej jednak chwili wzrostu wszystkie syntetycznie współdziałać muszą, a żadna nie może zapanować wszechwładnie ku wykluczeniu innych.

Wola pozytywna i odpowiadająca jej myśl organiczna rozumie, że w istniejących formach życia ludzkiego we wszystkich dziełach ludzkiego ducha skapitalizowała się jej własna energja i że kapitał ten jest twórczy. Wyższośc świadomego życia nad nieświadomem polega właśnie na zdolności kapitalizowania materjalnego i duchowego. Mówiliśmy już o tradycji.

Tradycja to kapitał duchowy cenny, bo twórczy. Człowiek posiada zdolność pojmowania myśli od drugich, uczenia się. Kapitał tradycji—to doświadczenie, wiedza i nawyknienie, stające się drugą naturą, zakorzenione w instynktach natury pierwotnej, lecz już przeniknięte myślą, osądzone jako moralna wartość, uprawomocnione. Dzięki zdolności uczenia się, czyli panowania rzeczywistości w formie myśli, dzięki możności stworzenia tradycji ludzie nie zaczynają wiecznie wszystkiego od początku, lecz kapitał raz nabyty coraz obfitsze przynieść może owoce. Dlatego społeczeństwa wysoko cywilizowane produktywniejsze są od pierwotniejszych, którym dużo schodzi czasu na mniej czy więcej udanem odkrywaniu Ameryki.

Dzieła ludzkie są więc dla myśli organicznej nią samą, jej energją, objawioną widomie i służącą do dalszej ułatwionej już pracy. To też kocha się w nich. Jej celem jest praca dalsza, życie dalsze, tworzenie dalsze, pomnażanie i wcielanie energji rozumnej. Temsamem myśl organiczna jest zarazem konserwatywną i postępową, lub nie jest zasadniczo ani jedną, ani drugą, gdyż nie chodzi jej o tę lub ową formę dla niej samej, lecz o wyrażanie swej rozumnej treści. Jednakowoż w praktyce jest konserwatywną i woli wlewać się, w znane już kształty, póki z samego stopniowego wzbogacenia życiowej treści nie wyłania się zarys nowych kształtów życia, narzucających się prawie bezwiednie. Wie ona, ile energji pochłania stwo-

rzenie nowego kształtu, zwłaszcza póki realny materjał nie jest przysposobiony.

Niecierpliwość zmiany jest chorobą nieznaną myśleniu organicznemu. Postęp nie przedstawia mu się jako bieg w przestrzeń, byle dalej od punktu wyjścia, byle prędzej i prędzej. Jak już wspomnieliśmy, organiczna myśl widzi rzeczywistość jako siłę, a nie jako przestrzeń. Wydobywanie sił z ludzkiego ducha, syntetyzowanie tych sił, i zapełnianie tym sposobem przestrzeni żywą treścią, tak wygląda, obrazowo mówiąc, wysiłek woli organicznej.

Duch ludzki nie wyczerpuje się w tworzeniu, w ożywianiu rozlicznych kształtów życia swoją siłą. Przeciwnie, duch żyjący w zdefinjowanych postaciach, wzbiera w energję twórczą, duch błąkający się w bezkształtnej przestrzeni zamiera w sobie. Człowiek pierwotny, którego uczucie nie ma się jeszcze czego czepić, bo jego dusza nie wcieliła się w postawie społecznego życia i osobistego doświadczenia, człowiek pierwotny jest siłą drzemiącą, a gdyby go sztucznie zatrzymać w tym stanie, stałby się siłą umarłą. Człowiek cywilizowany, żyjący w pełni materjalnych i moralnych kształtów i wartości życia, tem więcej w energję wzbiera, im jej więcej wydaje, im więcej siły uczuciowej i myślowej wkłada w te konkretne kształty, t. j. im żywszy bierze udział w społecznem i osobistem działaniu. To pomnażanie się duchowej energji jest tajemnicą duchowego organizmu, tajemnicą, o której się nie śni filozofom materjalizmu i mechanicznego postępu.

*

Stanowisko człowieka wobec życia zależy od jego wolnego wyboru — może ono być dodatnie, pozytywne, może być negatywne. Jeden buduje, drugi niszczy, a większość jest bierna, a tylko półświadomie, instynktowo afirmuje siebie i uznaje prawidła konstrukcyjne rzeczywistości.

Nikomu przemocą nie narzuci się wyboru. Niespaczony, swobodny instynkt czyni wybór pozytywny, lecz instynkt ten w człowieku rzadko jest czysty i wolny. Jest to wogóle dziedzina ciekawych paradoksów. Lecz odkąd reformatorstwo weszło niejako „w modę", zapanował powszechnie paradoks nieoczekiwany: w imię pozytywności uprawia się negację, w imię miłości życia nienawidzi się wszystkich kształtów realnych w jakich kiedykolwiek występowało, w imię myśli zmiata się wszystkie jej ucieleśnienia.

Tymczasem raz trzeba sprawę postawić jasno: albo chcemy żyć, kochamy życie, zatem uznajemy, chcemy pojmować jego objektywne prawa i formy, w których się one wcielają, t. j. wszystkie organiczne kształty, jakie życie przybierało w ciągu rozwoju kultury, kształty, stworzone przez myśl i wolę pozytywną. Jeżeli tak jesteśmy usposobieni, wolno nam uważać się za przyjaciół życia, za budowniczych, powołanych do tworzenia rzeczywistości ludzkiej i „postępu" w ścisłem, realnem znaczeniu słowa.

Albo też nienawidzimy życia, chcemy iść jego prawom na przekór, więc nie chcemy go rozumieć, ani pojmować znaczenia jego praktycznych, oraz duchowo-myślowych wartości, ani organicznych kształtów, w których się wyrażają. W takim razie jesteśmy nieprzyjaciółmi życia, a przybieranie roli reformatorów, rozprawianie o postępie, o ideach i ideałach jest obłudą świadomą lub półświadomą, zależnie od inteligencji danej jednostki.

„Nie może człowiek dwom panom służyć... Nie może Bogu służyć i Mamonie". Tak samo nie może człowiek służyć życiu t.j. jego konkretnym wartościom, a zarazem instynktowi anarchji i nienawiści.

Kto kocha oderwaną ideę więcej, niż konkretny ład i kształt, już jest anarchistą, czyli nieprzyjacielem życia, bo ono jest ładem i kształtem realnym. Dla kogo miłość ideału przybiera przeważnie formę nienawiści burzącej, a nie konstrukcyjnej energji rozumu, ten już jest niewolnikiem negacji, do twórczości niezdolnym, dla życia straconym.

Negatywność jest zresztą pierwotną i naiwną cechą: afirmowanie siebie przez przeciwstawienie się wszystkiemu, co nas otacza,—to pierwotny stan świadomości, który mija, skoro zaczynamy zdawać sobie sprawę jasno z psychicznej treści własnej i gdy nasza „odrębność" przestaje być jedyną decydującą cechą osobistości.

Praktyczna myśl organiczna posiada swój rodowód logiczny i metafizyczny, lecz dla praktycznego umysłu wypływa z wyobraźni, z uczucia i z woli bezpośrednio i znajduje sankcję i uprawnienie w doświadczeniu objektywnem rzeczywistości.

Celem ludzkich wysiłków jest szczęście; człowiek nowoczesny nie chce już uważać życia za ciernistą drogę zasługi, za ciężką szkołę wewnętrznej doskonałości, zapewniającą przyszłą szczęśliwość, ale szuka szczęścia tu, w ziemskich kształtach. Człowiek nowoczesny, odnosząc się tak do życia, skomplikował ogromnie swe zadanie, wziął na barki olbrzymią odpowiedzialność wobec pokoleń przyszłych. Wydaje mu się, że się uwolnił od wymagań, narzuconych mu przez religijny autorytet, i teraz może robić „co mu się podoba". Niestety, to co się nam „podoba" bezpośrednio w chwilowem pożądaniu, najczęściej nie prowadzi w dalszym rozwoju do skutków, mogących się podobać, t.j. przynoszących pomyślność i zadowolenie, dobrobyt ciała i duszy.

Dawny człowiek, Chrześcjanin, oczekiwał swej nagrody z sprawiedliwej a litościwej ręki miłującego Ojca; nowoczesny człowiek chce sam wziąć nagrodę, sam ją sobie stworzyć w pomyślnem doczesnem życiu. Chce być wolnym twórcą życia. Temsamem jednak stać się musi sługą materjału; który ma obrobić i reguł przyrodzonych swej sztuki. Bez powolności wobec tych dwóch pierwiastków wszelkiej twórczości niema organicznego tworzenia. O żadnej „dowolności" niema tu mowy. Chcąc organizować życie tak, by mu było nagrodą samo przez się, a więc szczęściem, człowiek poddać się musi żelaznej dyscyplinie objektywnych praw życia zbiorowego i psychicznego życia własnego, musi „wyrzec się siebie" t.j. wszystkiego, co w nim jest zachcianką, przywidzeniem, kaprysem, a służyć przedmiotowej prawdzie.

Jarzmo prawdy jest wdzięczne i zgodne z ludzką przyrodzoną potrzebą, niemniej jednak wymaga wstępnego aktu pokory, ugięcia karku przed rzeczywistością, która wprawdzie jest naturalną treścią własnej naszej duszy i myśli, ale jednak jest czemś od nas niezależnie istniejącem, co uznać, do czego wolą naszą przystosować się musimy pod karą zniszczenia siebie. Chrześćjanin, gdy grzeszy przeciw Bogu, od Boga przez Jego przedstawicieli rozgrzeszenie otrzymać może; za grzechy przeciw rzeczywistości, przeciw prawom życia niema rozgrzeszenia.

Tak przedstawia się paradoks nowoczesnego świata. Być może, że człowiek nowoczesny nie zdoła wyłamać się z niego, bo próżność rozumu, poparta zacietrzewieniem namiętnych uprzedzeń i rozbudzonych apetytów, nie dozwoli mu dojrzeć jedynego wyjścia, jakie mu otworem stoi. Tem wyjściem jest pozytywność: pozytywność uczucia w umiłowaniu życia i tworów ducha człowieczego; pozytywność myśli w objektywnem poznawaniu rzeczywistości całej, nieokrawanej dowolnie; pozytywność woli w energji twórczej rozumnej, kierowanej organiczną myślą.

ZOFJA ŻÓŁTOWSKA

MARCELINA DAROWSKA

1827 — 1911

Pani E. Krasińskiej-Rudnickiej te słowa poświęcam

Historyk literatury ma niejednokrotnie sposobność stykania się z indywidualnościami o typie głęboko religijnym. Dają mu one możność studjowania ich przeżyć, w których podświadomość, jak stwierdził to niegdyś James, odgrywa rolę pierwszorzędną. Dają mu one możność studjowania także wpływu społecznego na indywidualność, a raczej wpływu pewnych wybitnych indywidualności na słabsze i ulegające nieodpornie działaniu tamtych.

Wybitnie społeczny charakter ruchu religijnego na emigracji nie może ulegać wątpliwości. Wyszedł on od Mickiewicza, zjawił się w Kajsiewiczu i Semenence w Paryżu i w Rzymie, w Chołoniewskim na ziemiach kresowych. Dzieci pokolenia wolterjańskiego uległy prądowi, co z saintsimonistów czynił ludzi wiary i wiódł ich w mury zakonne. Czy nie było tak z Kajsiewiczem, który, gdy dowiedział się, że Mickiewicz chodzi do kościoła, zrozumiał, że religja musi być czemś poważnem?

Jeżeli towianizm był pierwszą herezją powstałą wśród Polaków, to równolegle do niego idzie odrodzeniowa praca tych, co poczuli w sobie powołanie do stanu duchownego. Trzeba się cofnąć o całe wieki w tył, żeby spotkać takich ludzi, jak Kajsiewicz, żeby odkryć takie dusze, jak Darowska. Prądy religijne mają moc potężną, jak świadczy ascetyzm Kingi lub Salomei, oddanie idei Skargi lub Birkowskiego. Powrót do prawomyślności religijnej był repliką katolicyzmu polskiego na towianizm i na spekulacje idealistyczne doktrynerów typu Trentowskiego a nawet Cieszkowskiego.

I oto mija lat sto, jak, na bujnych w polskie indywidualności stepach ukrainnych, zakwitł kwiat dziwnej woni i subtelnych barw. Była nim córka starego szlacheckiego rodu Kotowiczów, obdarzona, od lat dziecięcych, cudownym darem udzielania siebie drugim, a żyjąca jednocześnie cała życiem wewnętrznem. *Nie dla zyskania miłości, ale z miłości ludzi* trzeba, mówiła już wtedy, dla ludzi pracować i o niczem nie myśleć, jak o służbie ojczyźnie polskiej.

Maluczkich na tej ziemi otaczała też zawsze osobną miłością. W domu raczej obojętnym dla wiary była przykładem pobożności. A i pisać umiała pięknie o swych przeżyciach, skoro poeta kresowy Groza, nazywał ją małą Tańską, a Korzeniowski znajdował uznanie dla jej wierszy. Nie zaszkodziło jej polskości to, że uczyła się na pensji w kosmopolitycznej Odesie. Nie podkopał w niej religijności wpływ otoczenia, które ciągnęło ją do świata. Kształtna, złotowłosa, o szafirowych oczach, dystygowanych ruchach i bajecznym głosie panna z Szulak poszła za wolą rodziców, gdy poślubiła w r. 1849 Karola Darowskiego, ale żyła pomimo wszystko tylko w Bogu i dla Boga.

Dom mężowski uczyniła rajem, by, owdowiawszy po trzech latach, uczuć wewnętrznie, że jej przeznaczeniem droga zakonna. Więc jedzie do Paryża, gdzie Zmartwychwstaniec Jełowicki zajął się nią troskliwie. Widzimy ją teraz dążącą do Rzymu, gdzie Kajsiewicz wydał się jej żołnierzem Chrystusowym. W tem mieściło się pojęcie odwagi, zaparcia się siebie, gotowość na śmierć i życia dla Boga. Uczuła się ptaszkiem, któremu klatkę otworzono, przepadła dla siebie i stworzeń ziemi, czyli *urodziła się nanowo.*

Jej dusza potrzebowała nieskończoności. I oto, jak opowiada w pamiętniku, raz, w cudny dzień majowy, atmosfera jej pokoju rzymskiego przepełniła się czemś boskiem, objęła ją i przeniknęła na wskroś. Usłyszała głos: Pójdź za mną a ja cię poprowadzę! Wtedy postanowiła także oddać się wychowaniu dzieci i złożyła śluby czystości i posłuszeństwa w roku, w którym miał być ogłoszony dogmat Niepokalanego Poczęcia.

A więc poczęła odczuwać obecność boską, co było zawsze związane z pewnym rodzajem radości. Wyzwalała się z ziemskości, by urzeczywistniać w sobie niewidzialność. A była też zdolnością organizacyjną o szerokiem polu widzenia i programie czynności przyszłej. Teraz zrozumiałe, jak mówi badacz stanów religijnych Leube, że życie jej tak płynie, jak płynąć powinno. Uczuła swą jedność ze wszystkiem stworzeniem i doszła do pokoju, do harmonji, do chęci życia naprawdę. Była pewna, że ma łaskę bożą, a przed sobą życie piękne i nowe.

Nie zapomniała jednak o domu rodzinnym, o pozostałej córce. Skutkiem zespolenia się z Bogiem była miłość dla ludzi. Wróciła jeszcze na Ukrainę, choć myślą wracała się do Rzymu i do planu stworzenia zakładu wychowawczego. I taki plan urzeczywistniał się zwolna na gruncie rzymskim. Na czele kobiet podobnie usposobionych stawała istota o oczach wpatrzonych w przestrzeń, o niezwykłej dostojności postępowania, o niezrównanej prostocie i dobroci.

W r. 1858 zgromadzenie zakonne otrzymało nazwę od Niepokalanego Poczęcia N. P. Marji, choć było właściwie odgałęzieniem Zmartwychwstańców. Jego przełożona miewała teraz ciągle widzenia, jak naprzykład trzech krzyży różnego kształtu i charakteru. „Dzisiejszy wcale był inny — mówiła o trzecim — w powietrzu zawieszony wielkości tutejszego relikwiarza, cały w wielkich, białych jak bryły kryształowe kamieniach, z jasnemi promienistemi kolcami, jakby brylantowemi cierniami, z napisem: Takim miłość go czyni". Miewała jednak Matka Darowska i chwile zwątpienia, które znamy z życia największych świętych.

Ale z fali uczuciowej, która ją ogarnęła, narodziła się, by użyć wyrażenia Jamesa, *kobieta silna.* Uniesienie zdawało się sprawować w niej kierownictwo nieustanne, a łaska boża działała zapewne nie tylko przez widzenia, ale i drogami podświadomemi. Poczuwała się ona przynależną do życia szerszego od innych, zniszczyła w sobie ślad samolubstwa, przepełniła się cała miłością. Jej ascetyzm, jej siła duszy, jej czystość, jej spółczucie dla istot bratnich stały się cechami jej istoty.

A konkretne ilustracje dla tych owoców drzewa duchowego? Były niemi widzenia coraz świetniejsze

tajemnic religijnych. Pod ich wrażeniem, rozgorzało w niej pragnienie zyskiwania dusz, zapłonęła w niej ciągła modlitwa za kraj rodzinny. Widziała grozę grzechu, poznała wielkość ofiary boskiej. Oglądała dzieło szatana w Polsce, a w szczególności na najbliższych jej ziemiach kresowych. Uzyskała poznanie, jak się leczy rany bliźnich, czem jest świat w swej istocie.

Teraz jasno widziała swój cel przed sobą, to znaczy rekolekcje, wychowanie dzieci i modlitwę. Wychowanie dziewcząt miało dokonać przemiany w duszach, uczynić niewiasty mądremi i mężnemi, łagodnemi i rozstropnemi. Przez nie odrodzi się naród, dla którego wzorem ma być zgromadzenie, oparte na miłości, na ofierze, na poczuciu obowiązku. Duch Kajsiewicza, jako inspiratora tego zgromadzenia, przeniknął to wyraźnie, co znaczy, że odrodzenie ducha narodu przypomina to *znane nam z dziejów emigracyjnego mistycyzmu.* Oczyściło się tylko z miazmatów towianistycznych, ze spekulacyj romantycznych i weszło na drogę, którą chodzili ojcowie.

I teraz, na bliższych kresach, miał wznieść się taki gmach odrodzenia w Jazłowcu. Przygotowywała go Matka Darowska przez długie rekolekcje w Rzymie, w czasie ciężkich prób związanych z jej obowiązkami rodzinnemi. Stanął on w miejscu, które było niegdyś kluczem Podola w obronie przed pogaństwem tureckiem i tatarskiem, a dziś po wiekach, stawało się twierdzą ducha, szkołą wewnętrznego pokoju, dźwignią odrodzenia narodowego. Stawało się tem w momencie najważniejszej katastrofy, jaką było powstanie styczniowe. Na ruinach materjalnych, jakie ono spowodowało, wznosiło się dzieło odnowienia duchowego drogą nie ascetyzmu, ale czynu.

Jazłowiec miał odtąd stać się zaczątkiem, dzieła propagandy takiej w innych częściach ojczyzny. Czuwała nad nią ta, którą zwano ogólnie Mateczką, równie wylana dla wszystkich, stwarzająca prawdziwy raj ziemski, dla każdej wychowanki. Tonacja jej świętobliwej duszy posiadała moc ochronną dla całego otoczenia. Jej ekstazy i widzenia nie powstrzymywały bynajmniej, w przeciwieństwie do słynnej Małgorzaty Marji Alacoque, jej dążenia do rozszerzenia swego dzieła życia. Miłość boża nie wyłączała w niej miłości społecznej, co odróżniało ją od innych i czyniło wizjonekę kobietą czynu.

Otoczenie patrzyło z lękiem, czy ten stan głębokiego uświętobliwienia nie zaszkodzi jej zdrowiu. Działo się tymczasem przeciwnie. Wizyty kanoniczne, opinje wychowanek stwierdzały ciągle rozwój instytucji opartej na, prawdzie i miłości. Po religji, która nie jest prostą nauką, ale samem życiem, przedmioty narodowe miały pierwszeństwo. Nauka miała się traktować gruntownie, heurystyka, którą się dziś tak zaleca, uczyła myśleć, a nie wykuwać machinalnie zadane lekcje. Przełożona wglądała we wszystko, była wszędzie.

Nad dokonanem dziełem czuwali z daleka Kajsiewicz i Semenenko. I rzecz szczególna, że przełożona mimo całego ascetyzmu, ekstaz, oddania pracy organizacyjnej, potrafiła zajmować się jeszcze losem swej córki Karoliny, która poślubiła w r. 1808 Stanisława Dzieduszyckiego Starego Gwoźdźca, na Podolu. Choć czyniło się coraz puściej w około niej, choć nadchodziły nowe krzyże i bóle, pojawiali się nowi przyjaciele rozwijającego się dzieła, jak arcybiskup Feliński, niegdyś przyjaciel Słowackiego, jak arcybiskup Morawski, czuwający ze Lwowa nad Jazłowcem.

Nie brakło bowiem przeciwników dzieła, jak niegdyś nie brakło ich Konarskiemu, gdy fundował swój zakład wychowawczy w Warszawie. Ponieważ rosło ono mimo przeszkód, więc trzeba było stworzyć nowy zakład pod Jarosławiem, gdzie Skarga pisał niegdyś Żywoty Świętych, a obecnie nowy opiekun dzieła Kalinka, spełniający urząd kapelana, tworzył pomnikowe dzieło o sejmie czteroletnim. Po Jazłowcu i Jarosławiu powstał trzeci zakład w Niżmowie, jak gdyby dla obrony kresów wschodnich przed najazdem barbarzyństwa. Od nauczycielek żądała przełożona gruntownego wykształcenia, zasad moralnych, zamiłowania do pracy nauczycielskiej, sumienności, cierpliwości, wytrącenia swego ja z życia, wreszcie myśli przewodniej w dążeniach i pracy. Nie było więc nic z romantyzmu, co to ja troskliwie pielegnował. „Ja — mówiła Matka Darowska — to osobistość, pycha, miłość własna, szukanie siebie, z niemi nauczycielka istotą najnieszczęśliwszą, a nieużyteczną, bo Bożej myśli jej powierzonej, łaski nie mając, nie przeprowadzi".

Idąc taką drogą, zdobyła przełożona czwartą placówkę w r. 1897 w Nowym Sączu. Miała już za sobą zatwierdzenie istytucji z różnych lat. W r. 1904 obchodziła pięćdziesięciolecie swego dzieła, co zgromadziło w Jazłowcu ogromną ilość wychowanek. W ich imieniu jedna dziękowała założycielce zato, że nauczyła je miłości obowiązku. Znany arcybiskup Bilczewski, Henryk Sienkiewicz sławili szkołę, w której wychowywały się wnuczki przełożonej. Swymi wpływami sięgała ona zagranicę zaborów. Pod inną nazwą powstawały domy w Słonimie na Litwie, w Szymanowie pod Warszawą.

Nadeszły wreszcie ostatnie dni życia. Sędziwa staruszka pragnęła iść jeszcze o kiju na Litwę i do Korony, by szerzyć dzieło życia. Zamykało się jednak ono wśród przeczuć o bliskiej wojnie, wśród ostatnich prac organizacyjnych. Słabnącej na siłach dodawał otuchy arcybiskup Teodorowicz. Zmarła 5 stycznia w r. 1911, udzieliwszy pierwej otoczeniu całego szeregu wskazań na przyszłość. Wśród nich uwydatniło się zwłaszcza nawoływanie do czystości obyczajów i bezinteresowności. „Czego się nie ma — mówiła umierająca do siostry — tego się nie rozumie, w to się przestaje wierzyć, przestaje się widzieć, niech one będą bezinteresowne".

Aureola świętości otoczyła tę córkę ziemian kresowych, która dla swego otoczenia, dla całego ogółu była i pozostała autorytetem. A bez autorytetów niema mowy o społeczeństwie, gdyż one dodają energji słabszym. Racjonalizm, jak mówi James, próżno grzebałby się w tem, bo nawiedzająca człowieka prawda staje się siłą, która udziela się drugim.

Jeżeli, wedle Tołstoja, wiara jest tem, czem człowiek żyje, to wiara Matki Darowskiej ożywiła nie tylko ją, ale i setki jej wychowanek, setki rodzin przez te wychowanki wychowanych. Mistycyzm, jak mówi James, jest czemś osobliwem. Religijność tej świętej Polki nie miała w sobie nic osobistego, nic romantycznego. Znikło dzieło Towiańskiego, gdyż jego zwolennicy nawet we Włoszech są nieliczni i bez znaczenia. Nie znikło dzieło odrodzenia religijnego, poczęte na emigracji, popierane przez jej przedstawicieli później. Jeżeli zaś najlepszym dowodem prawdziwości religji jest jej użyteczność, dzieło Matki Dorowskiej pozostanie wiecznym pomnikiem tej prawdy. W szeregu pięknych postaci niewieścich, jakie wydała przeszłość polska, ona będzie jedną z najbardziej świetlanych.

TADEUSZ GRABOWSKI

NIEZNANE POEZJE KASPROWICZA

II. WIERSZE RÓŻNE (Ob. № 7)

SYNOWIE LUDU!

Synowie ludu! o wam to przystało
Podnieść wielkimi się z nędzy i błota
I tam gdzie ducha i życia za mało,
Wzniecić pochodnię jaśniejszą od złota!
Synowie ludu! zatknijcie sztandary,
Nowych porywów i nowych zachwytów,
Któreby wolne od złudy i mary,
Wzbiły nas wszystkich do szczęścia błękitów...

Z mieczem słonecznych, ognistych promieni,
Co w łonie świata ponurem i próżnem
Umią zapłodnić wybawcę z tych cieni,
Idźcie w okryciu pielgrzymiem, podróżnem,
Między wybladłe i troską zorane
Lice swych braci i twarde ogniwa
Zmieńcje na suknie jedwabiem dzierzgane
I na weselne, złociste przędziwa.

Dość już tych cierpień i dość tych upodleń,
Trzeba raz wyzwać ciemiężcę do boju
A nie w czczym dymie pokory i modleń
Szukać zbawienia i szukać spokoju!
Dość tego życia! nam walczyć potrzeba,
Choćbyśmy mieli się tarzać w popiele
Ojcowskich grobów, bo głodnym kęs chleba
Droższy niż tamto pośmiertne wesele!...

Wielki Jehowo! ty dłonią bożyszcza,
Okrywasz jednych w szkarłaty i wieńce
Królewskich godeł, a drudzy na zgliszcza
Strzech swoich patrzą, wygnani i jeńce
I, przyodziani w cmentarne całuny,
Karmią się strawą przegniłą, niezdrową —
Nie dziw się zatem, że kładąc się w truny
I im złorzeczą i tobie, Jehowo!...

Synowie ludu! nim blade źrenice
Braci się waszej już zamkną nazawsze,
Wysączcie z serca gorącą krynicę
W pierś konających, i choćby wam krwawsze
Trza było jeszcze wieść życie, oddechu
Dla nich nie skąpcie, a w blasku i sile
Powstaną nowej, i w rajskim uśmiechu
Wskrzeszą tych, którzy już leżą w mogile...

Mogił dziś pełno! ci wszyscy co tarczą
Byli wolności i prawdy, gdy gaśnie,
Ci którzy patrzą jak ludem frymarczą
Przeciw despotom walczyli zapaśnie,
Leżą w mogiłach!... Nad nimi pręgierze
Zdają się szydzić katowskiem obliczem,
Z krzyżem Chrystusa zawarłszy przymierze,
Co każe kończyć ludzkości pod biczem.

O biedna — biedna ludzkości! dla Ciebie
Zda się że wszystko już dzisiaj zamarło,
Że ci pogasły już gwiazdy na niebie,
Że tobie słońce swe światło zatarło!
Niewolniczemi przykuta łańcuchy
Do twardych głazów, znękana i blada
Patrzysz, jak nikną zbawienia ci duchy
Patrzysz, jak sęp ci twe serce wyjada!...

Więc czas już, czas już! tych którzy na tronie
Siedząc złocistym skinieniem swej ręki
Pchają cię w przepaść i gaszą w twém łonie
Iskry wolności, i kajdan i męki
Nie szczędzą synom ci wiernym, wyzwiemy
W krwawe zapasy, a na ich ruinie
O dzieci ludu! potężny wzniesiemy
Kościół wolności, co nigdy nie zginie!...

Opole d. 3. 10. 81.

O ZŁOTE SŁOŃCE...

(strofy 4—6)

A nasze duchy czy grzejesz nadzieją?
One sennemi trapione widziadły,
Czy się czasami w tej walce nie chwieją,
Czy niedrżą czasem jak listek opadły?...
O złote słońce! czy ciebie mam winić,
Że osiadł smętek śród naszych obliczy,
Gdy ciśniem węże, co—jadem chcą ślinić
Te usta spiekłe, spragnione słodyczy?...

Nieszczęsna dola! złe losów zabawy!...
Tutaj odżyły ziół martwe kobierce,
A ludziom braknie ożywczej potrawy,
Och! i grobowo wciąż bije im serce!
Wszyscy zbierają się w okół mogiły
I brzask wiosenny witają zwątpieniem,
Jakby zamarzły na wieki w nich siły,
Jakby na wieki złamani cierpieniem.

A przecież jeszcze w popiele rozpaczy—
W zimnym popiele nie zgasła na zawsze
Iskra miłości, ukryła się raczej,
Aż ją rozdmucha słoneczko łaskawsze...

O złote słońce! z tej wiosny przybyciem
Chciej ją zapłodnić w płomienie miłosne,
Chciej nią powiązać rozkosze ze życiem,
Chciej nią wywołać godziny radosne!...

STŁUM TĘ CHĘĆ ŻYCIA!... [1])

O serce biedne! o zdeptane serce!
Poco tak rwiesz się do dłuższego bytu?
Czyliż nie lepiej, w zawodów rozterce,
Rzucić na zawsze jesienne kobierce
Łez i przekwitu?

Czyliż nie lepiej raz zginąć jak liście,
Które wiatr, patrzaj! ścina z tego drzewa,
Niżeli czekać tak na wiosny przyjście,
Co tobie serce! nie zalśni ogniście
I nie zaśpiewa?

Czy strach ci próżni, co za grobem zieje?
Czy cię przeraża ach! to nic bezdenne,
Gdzie świt swych brzasków srebrzystych nie leje,
Gdzie się pragnienia kończą i nadzieje —
Te widma senne?...

Stłum tę chęć życia! nie różni się w niczem
Od tamtych bezdni pustka w okół ciebie,
Tylko że tutaj trapi cię swym zniczem
Ułudna gwiazda, drżąca na zwodniczem
Pożądań niebie!

MATER DOLOROSA [2])

Patrzcie na twarzy tej wychudłej bladość!
Spojrzyjcie w oczy przymroczone łzami!
Gdzie jest ta życia niezmącona radość,
Co złudą blasków promienistych mami,
Pragnieniu czyni już zadość?

Znikła!... tak, znikły wszystkie barwy świéże
Z twych lic, o Matko Bolesna, Ludzkości!
Jak giną w nocy słońca skry zbyt hyże!
A na ich miejscu przeświadczenie gości,
Że ci się wznosić będą wciąż—ciemności,
A ideałom twym—krzyże!

---

[1]) Wpisany bez tytułu; pod wierszem podpis: Jan Kasprowicz.

[2]) Pod tekstem podpis: Jan Kasprowicz.

BĄDŹ POZDROWIONA!... [3])

Choć mną ty miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu;

Choć ty mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl tu nieraz myśli przeciwieństwem,
Że gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na bliskie swoje
Przekleństwem;

Choć ty mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Blada stanąwszy już nad mą kołyską,
Że dziś ach! młody a jak starzec jestem
I śmierć mi, zda się, ze swym trupim gestem
Tak bliską:

Bądź pozdrowiona! bądź! ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serce pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, ty matko natchnienia,
Boleści!...

O ZBLIŻ SIĘ ŚMIERCI!... [4])

O zbliż się śmierci! senna śmierci! zwojem
Chłodnawych ramion obejmij te skronie,
Które się palą; zbliż się ze spokojem,
Którego nie ma w tem łonie.

*

Ty mnie nie straszysz chrzęstem trupich kości,
Ty mnie pustemi nie przerażasz oczy
Ni tem robactwem, co w mogiłach gości
I ciała toczy ach! toczy!

*

To oni widzą obraz grozy w tobie,
Oni stawiają cię w rozkładów brudzie,
W tym ciemnym, ciasnym, w tym cuchnącym grobie;
Lecz cóż mi oni, ci—ludzie?

*

Dawniejsza miłość, co przygarnąć chciała
Wszystkich przeczysta, do serca, dziś na nic!
Na nic?! W nienawiść zmieniła się cała
Ach! w tę nienawiść bez granic!

*

O zbliż się śmierci! o zbliż się aniele!
Niech cichy szelest twych słów mnie odwoła;
Ty co gotujesz spokój i wesele,
Wyrwij z tych ludzi mnie koła!...

Do części I „Wiersze z pamiętnika“ (ob. nr. 6) należy wiersz p. t.:

REZYGNACJA [5])

Serce — o serce! czemu tak bijesz,
Czemużeś pełne tych zniczy.
Jakąś przedziwną tęsknotę kryjesz,
Nadzieję tuszysz, nadzieją żyjesz,
Anielskiej pragniesz słodyczy.

Daremne bicie, próżne życzenia!
Pogódź się z losy swojemi.
Złociste blaski — złote strumienia
Jesienny, mgławy obłok zacienia,
Aniołów nie masz na ziemi...

Za lat minionych, za lat dziecinnych
Było ci lepiej, inaczej.
Wobec pożądań czystych niewinnych
Nie znałoś myśli i chęci innych,
Nie znałoś czarnej rozpaczy!...

Potem spostrzegłoś obraz przecudny,
Lecz cię ten obraz okłamał,
I dziś miast chwili rajskiej ułudnej
Trzeba wieść żywot gorzki i trudny —
Szczęścia się kwiatek przełamał.

Serce o serce! nie bij więc zatem—
Czy chcesz przyśpieszyć mogiłę?
Nie płacz — nie tęsknij za owym kwiatem
Och! i przed ludźmi i przede światem
Przemień w lodową się bryłę!...

W Opolu

---

[3]) Wpisał poeta do pamiętnika bez tytułu; pod ostatnią zwrotką skrót podpisu: J. K.

[4]) Bez tytułu; pod ostatnią zwrotką skrót podpisu poety: J.K.

[5]) Autograf tego wiersza przywiózł poeta z Opola do Poznania, gdzie go przepisała p. W. K. (relacja p. W. K.).

U STUDNI

(Z motywów ludowych).

I.

Widziałam ci Jasineczka
Mojego,
Kiedy pojić był konika
Siwego.
Widziałam ci go, widziałam
U studni,
Gdzie to woda się tak burzy
I dudni.

II.

„— A patrz ino, Jasineczku!
Patrz ino,
Jak te wały się podnoszą,
I płyną!
Nie widać tu ani nieba
Ni słońca,
Jeno woda zapieniona
I wrząca.

III.

Moja pierś się tak podnosi
I wzdyma
Kiedy ciebie, mój jedyny,
Tu niema.
Co dzień tęschnię, co dzień patrzę
Z okienka,
Czy nie ujrzę koło chaty
Jasieńka.

IV.

Oj i nieraz myślę w łzawéj
Boleści,
Może on się już tam z inną
Gdzie pieści,
Może on się już zaleca
Do innéj,
Podeptawszy mój wianeczek
Niewinny!“....

V.

— A przestańże, moja złota,
Się smucić
Bo i jakże mógłbym ciebie
Porzucić,
Bo i jakże mogłbym zostać
Niestały,
Gdy bez ciebie jest mi niczém
Świat cały!

VI.

O nie darmoś Kasineczku —
O miła!
Swój wianeczek świeżuteńki
Zgubiła.
Jak obrazek mam go zawsze
Przy sobie,
I rozstanę z nim się chyba,
Aż w grobie.

VII.

Już po lecie, więc na żyto
Wciąż orzę,
Oj i siejąc myślę sobie:
Mój Boże!
Skoro żyto się na roli
Wykłosi,
Ojciec kumów na wesele
Zaprosi!“...

VIII.

Oto słowa Jasineczka
Mojego,
Kiedy pojić był konika
Siwego....
Jakie szczęście, jaki spokój!...
Więc w studni,
Niech się woda, jak chce burzy
I dudni!

Opole 5. 10. 81.

(Dok. n.)

LIBERUM VETO

Nieporozumienia.—Przymus religijny i przymus socjalistyczny.—Księgi święte.—Dwie monarchje.—Baloniki i szkła.—Sprowadzenie prochów Słowackiego.—Lekceważenie przedstawicieli literatury. — Widok przyszłości.

WRE u nas obecnie zacięta wojna na dwóch polach, której Liga Narodów ani nie mogła zapobiedz, ani nie może powstrzymać. Walczą obrońcy religji z ateistami i monarchiści z republikanami. Gdyby chodziło tylko o zasady, bój ten toczyłby się na gruncie nieporozumienia. Ministerjum oświecenia wydało okólnik, nakazujący uczniom w szkołach wykonywanie obrządków religijnych. Nie wchodzimy w treść tego rozporządzenia i samego obowiązku, zapytujemy tylko, czy też ci radykalni oburzają się na samą zasadę, czy na jej podkład realny? Innemi słowy: czy powstają przeciwko przymuszonej pobożności, czy przeciwko wpływom Kościoła katolickiego na wychowanie? Jeżeli tu zachodzi pierwszy wypadek, to pozwolę sobie zaopatrzyć go krótkim komentarzem. Odpowiednikiem dla Nowego Testamentu jest w religji socjalistycznej „Manifest" komunistyczny i „Kapitał". To są jej ewangelje, dzieje i listy apostolskie, system dogmatów, niepodlegających żadnej krytyce i wątpieniu. Najfanatyczniejszy chrześcijanin nie posuwa swej bezwzględnej czci dla Pisma Świętego dalej, niż prawowierny socjalista i komunista dla swoich ksiąg świętych. Jeżeli zaś ktoś wstąpi do tego kościoła socjalistycznego, albo nawet nie wstąpi dobrowolnie, lecz na podobieństwo nawracanych do prawosławia unitów zostanie do niego zaliczony gwałtem, czy nie musi wykonywać wszystkich jego przykazań i obowiązków pod karą klątwy a niekiedy pobicia i śmierci? Więc po co krzyk i gniew na przymus prawny wykonywany w szkole?

W drugiej sprawie poradźmy się bardzo mądrego człowieka, starego Montesquieu'go. W V rozdziale swego *Esprit des lois* mówi on pod tytułem: „Cnota nie jest wcale zasadą rządu monarchicznego": „W respublikach występki prywatne są publicznemi, to jest, obrażają więcej konstytucję państwa, niż jednostki, w monarchjach występki publiczne są bardziej prywatnemi, to jest więcej obrażają interesy (*fortunes*) jednostkowe, niż konstytucję państwa". Rzeczpospolita demokratyczna opiera się na cnocie, monarchja umiarkowana — na honorze, despotyczna na — strachu. „Ambicja w próżniactwie, podłość w dumie, żądza zbogacenia się bez pracy, wstręt do cnoty, pochlebstwo, zdrada, wiarołomstwo, niedotrzymanie przyrzeczeń, lekceważenie obowiązku obywatelskiego, obawa zacności monarchy, nadzieja w jego słabościach, a nadewszystko ciągłe ośmieszanie cnoty — oto jest charakter większości dworaków we wszystkich czasach i miejscach". Cały ten materjał mamy już przygotowany, trzeba go tylko obrobić. Różnica między naszymi monarchistami a republikanami istnieje tylko w szczerości. Pierwsi oświadczają wyraźnie: chcemy króla jawnego, ukoronowanego, panującego i rządzącego, prawnie uprzywilejowanego, stojącego po nad ciałami ustawodawczemi i władzami wykonawczemi; drudzy mówią: nie chcemy ani króla, ani cesarza, ani monarchy despotycznego, chcemy naczelnika rządu, który posiadałby wszystkie te prawa i przywileje, ale żadnego z tych tytułów. Ostatecznie zgodziliby się nawet na to, ażeby ta osoba była zupełnie zamaskowana i nie sprawowała żadnego urzędu. Właściwie zatem chodzi w tym sporze tylko o tytuł i jawność. Oba te stanowiska są tak do siebie zbliżone, że bardzo łatwo zamienić je na jedno. Pozostawałoby tylko nie nominalnemu, ale faktycznemu monarsze nadać takie rozmiary wielkości, ażeby ona wyrównywała usuniętemu tytułowi. Ale to nie jest operacją trudną.

Jeżeli z Marksa zrobiono mesjasza, a z „Kapitału" i „Manifestu" komunistycznego Testament, to z każdego wybitniejszego (niekoniecznie) człowieka łatwo zrobić samowładcę. Wystarczy ten zabieg, zapomocą którego tworzy się baloniki: trzeba póty dąć w woreczek gumowy, dopóki on nie przybierze pożądanej objętości. Słowem, kłótnia republikanów z monarchistami powinna ustać, a przypuszczam, że nieprzejednani socjal-komuniści pierwsi wyciągnęliby ręce do zgody, bo im chodzi o rzecz a nie o jej nazwę. To przypuszczenie jest tem bardziej uzasadnione, że posiadamy niepospolitą wprawę w wyrabianiu baloników, która odbywa się u nas na wielką skalę. Niema zapewne między moimi czytelnikami ani jednego, któryby się nie przypatrywał tej fabrykacji. Zwykle dzieje się tak: istnieje gdzieś sobie mało znany lub nie znany woreczek gumowy, który nie może podnieść się w górę; nagle zjawia się większa lub mniejsza gromada przyjaciół i wspólników z mocnemi płucami, którzy zaczynają kolejno i nieprzerwanie w niego dmuchać; on powiększa się, pęcznieje i wzlatuje po nad głowy ludzkie. Albo też: leży gdzieś bryłka masy szklanej; specjaliści wrzucają ją do gorącego kociołka, roztapiają, nasadzają na cybuch hutniczy i wydymują w lśniącą banię. Wprawdzie złośliwy i niemiłosierny czas takie baloniki przekłuwa szpilką a banie tłucze, ale to nie zniechęca fabrykantów do dalszych wyrobów. Przemysł wytwarza nie tylko przedmioty trwałe, lecz także kruche, ale w danej chwili pożądane i korzystne, a życie, zwłaszcza w swej dziedzinie politycznej jest przemysłem.

Rada ministrów postanowiła sprowadzić z Paryża prochy Słowackiego i pochować w osobnem mauzoleum na wzgórzu w Krakowie. Zamiar chwalebny, ale jego wykonanie zasługuje na pytajnik z wykrzyknikiem. Słowacki nie był dygnitarzem administracyjnym lub wojskowym, któremu pośmiertne honory wyznacza rząd. Należy on do literatury i jej przedstawiciele powinni decydować o jego uczczeniu. Mogą oni słusznie zapytać: dlaczego ma on być przeniesiony do Krakowa, który nie jest stolicą Polski i poeta nigdy w nim nie był a nie do Warszawy, która jest stolicą Polski i w której on przebywał? Czy może jest obawa, że nasze miasto znowu kiedyś przestanie być bezpiecznem miejscem wiecznego spoczynku dla bohaterów narodowych? Oprócz niewłaściwego pomysłu tkwi w postanowieniu rządowem jeszcze inny kolec — lekceważenie tego świata, w którym djamentową kolumną był Słowacki. Po co się liczyć z proletarjatem, który niema dochodów woźnego lub czyścicielki wagonów, który nie posiada mundurów i wyższych orderów? Najniższa warstwa społeczna! Przyznajmy, że w pewnej części sama zasłużyła na poniewierkę. Bo przecie na targu stoi ciągle gromada dziennikarzów z tabliczkami na piersiach i napisem: „do wynajęcia". Po co panowie mają zwracać się o radę do niewolników? Oni są tylko do wykonywania rozkazów. No, ale nie wszyscy a nawet nie większość, która zachowała swą niezależność i godność. Tych widzieć i słuchać powinni bogowie ze szczytów urzędniczego Olimpu. Chociażby ze względu na przyszłość. Bo gdy już zgasną całe gwiazdozbiory i przestaną błyszczyć pożyczanem światłem planety urzędowe, gdy znikną świętojańskie robaczki protekcji, gdy opadną z igieł, świeczek i pierników choinki ministerjalne, wtedy jeszcze potomność wsłuchiwać się

będzie w głosy dziś lekceważonych pisarzów. Historya jest również skanalizowana i nieraz wpuszcza w swe ścieki to, co się bardzo pyszniło i z czasem stało się tylko nieczystością. Przez te kanały przepłynie w nicość niejeden wielki mąż, pomimo, że na jego piersiach lśnić będzie *virtus* lub *restituta*. Bo historja orderów nie uznaje i uważa je za znaczki kotyljonowe, które po skończeniu tańca tracą swoją wartość.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

POLITYKA I GOSPODARSTWO

W DZISIEJSZEJ dobie kryzysu, gdy bezprogramowość ogłoszona jest urzędowo jako ratunek na ciężkie niedomagania życia polskiego, Obóz Wielkiej Polski przedsięwziął regularne wydawnictwo wskazań programowych, postanawiając objąć niemi całokształt spraw politycznych i społecznych bez pominięcia najtrudniejszych nawet zagadnień, tych z któremi myśl europejska napróżno dotąd się pora, a które my na gruncie naszych stosunków rozwiązywać musimy samodzielnie.

Wśród nich centralnem jest tak paląca dzisiaj kwestja gospodarcza — i tę właśnie omawia w drugim zeszycie z tej serji znakomity znawca sprawy, prof. Roman Rybarski, ujmując rzecz konkretnie i wskazując drogi wyjścia z obecnego impasu.

Tytuł publikacji „Polityka i gospodarstwo" przypomina o związku organicznym tych dwuch dziedzin. Bez naprawy gospodarstwa żadna dobra polityka nie jest możliwa. „Możnaby się mniej przejmować zagadnieniami gospodarczemi, gdyby chodziło tu tylko o podniesienie dobrobytu ludności, jej zwyczajne wzbogacenie. Zagadnienie jest poważniejsze: chodzi tu raczej o walkę z nędzą, z bezrobociem szerokich mas ludności. Ale jest rzecz jeszcze ważniejsza od spraw dobrobytu i zatrudnienia wolnych rąk roboczych. Zagadnienie rozwoju narodowego gospodarstwa — to zagadnienie całości i niezależności naszego państwa". Wzgląd na podniesienie gospodarcze kraju dominować musi nad całą polityką polską.

Przezwyciężyć zatem trzeba „Wschód w Polsce" i utrwalić bezpieczeństwo własności nietylko ustawami, lecz, co może jeszcze ważniejsze, przeświadczeniem ogromnej większości społeczeństwa, wspartem na organizacji narodu, że to bezpieczeństwo, zapewniające możność gromadzenia oszczędności i rozszerzenia warsztatów pracy produkcyjnej jest koniecznością, chroniącą nas od bezrobocia, nędzy i zależności od obcych. Tylko z przywróceniem tego bezpieczeństwa wrócić będzie mogło zaufanie i nasze życie gospodarcze nabierze pełnego rozpędu.

Samo bezpieczeństwo nic nie zdziała jednak, jeśli doktryna walki klas nadal pustoszyć będzie teren naszych stosunków gospodarczych i nie zostanie zeń wyrwana z korzeniem. W życiu gospodarczem wspólność interesów różnych klas, warstw, zawodów, dzielnic jest silniejsza, aniżeli sprzeczność ich interesów. Prawda ta dziś wystąpiła na jaw z jasnością oczywistą. Robotnikowi polskiemu zagraża ustawicznie bezrobocie — a niema uruchomienia produkcji bez powstania nowych kapitałów. Robotnicy są najmocniej zainteresowani w odbudowie kapitału w Polsce.

Naodwrót, kapitał jest zainteresowany w stworzeniu pomyślnych warunków bytu warstwy robotniczej, choćby z tego względu, że przemysł nasz, jako całość, skazany jest przedewszystkiem na rynek wewnętrzny. Solidarność interesów różnych warstw ludności nie wyraża się w zasadzie jaknajwyższych płac, jaknajwiększych cen za towary i jaknajwiększych zysków, lecz w dążeniu, by wspólnym wysiłkiem powiększyć produkcję. Czyli: zwiększyć produkcję, by większe wartości zostały do rozdziału między uczestników produkcji. Dziś, jak wiadomo, bogactw do podziału jest w Polsce rozpaczliwie mało. Hasło zwiększenia produkcji — to kamień węgielny polskiej polityki gospodarczej.

Polityce tej nie wolno popadać w jednostronność, nie wolno prowadzić do supremacji jednego interesu. Innemi słowy, polityka ta nie może mieć pod jakąkolwiek postacią charakteru klasowego. Gospodarstwo narodowe — to jedna całość. Naród, który chce się rozwijać, potrzebuje zarówno rolnictwa, jak i przemysłu i handlu, musi otaczać swoją opieką wszystkie twórcze żywioły, zarówno te, które dzięki kapitałowi prowadzą produkcję, jak i te, które oddają swoją pracę umysłową, czy fizyczną.

Jedność gospodarstwa narodowego wyraża się także pod względem geograficzno-terytorjalnym. Zatem: postulat zjednoczenia gospodarczego Polski przez kolonizację wewnętrzną, wiejską i miejską, posuwającą się ku słabo zaludnionym okolicom z przeludnionych części kraju, przedewszystkiem zaś przez wytworzenie jednolitego systemu komunikacyjnego. W czasie strajku angielskiego tylko drobną część węgla mogliśmy wywieźć własnemi kolejami do morza; duża część zarobku przypadła Niemcom. Najważniejszym w tej dziedzinie nakazem jest budowa nowej linji kolejowej, stanowiącej najkrótsze połączenie Zagłębia z morzem.

Co do kapitału obcego, to potrzebny jest po to, by uruchomił i zwiększył naszą wytwórczość, a nie po to, by zmniejszał stan polskiego posiadania. I tylko ten kapitał zagraniczny nie jest dla nas niebezpieczny, który idzie do Polski wyłącznie dla zarobku na oprocentowaniu, nie ma żadnych ubocznych celów.

Mówiąc o rozwoju gospodarczym Polski, często rzuca się pytanie: rolnictwo, czy przemysł? — tak jednak sprawy stawiać nie należy. Raczej powiedzieć wypada, iż należy uruchomić w Polsce tę wytwórczość, która ma warunki rozwoju, to znaczy opiera się przedewszystkiem na krajowych surowcach. Zagadnienia równowagi między rolnictwem i przemysłem, jak również i zagadnienia wyboru między różnemi rodzajami przemysłu nie da się rozstrzygnąć w skrajny sposób.

Niesłychanie ciekawe uwagi wypowiedziane są w zakończeniu publikacji profesora Rybarskiego na temat modnej dziś idei zastąpienia parlamentu przez reprezentację zrzeszeń gospodarczych i zawodowych, a przynajmniej przyznania ostatnim większego niż dotychczas wpływu na politykę gospodarczą państwa. Prof. Rybarski ustala, że próby te nie dadzą rezultatów dodatnich, dopóki związki za cel swój jedyny nie przestaną uważać ciasno pojętego interesu klasowego czy zawodowego. Gdy się zrzeszenia, przystosowane do obrony konkretnych interesów gospodarczych i społecznych, razem sprowadzi, to, jak wskazują dotychczasowe doświadczenia, nie wynika z tego nic pozytywnego. Związki będą się mogły podjąć spełnienia szerszych zadań, gdy oparte zostaną na innych zasadach ideowych. Podstawą ich działalności musi stać się przekonanie, że droga do dobrobytu klasy prowadzi przez potęgę Polski, że nikomu nie wolno formułować roszczeń, które nie liczą się ze swemi konsekwencjami dla gospodarstwa narodowego.

KRAKÓW CZY KRZEMIENIEC?

PODEJMUJĄC kwestję, poruszoną wyżej w *Liberum veto*, administracyjnego sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel, dodamy parę uwag. Ów Wawel z Słowackim — to dawne, jeszcze z przed wojny hasło radykałów galicyjskich; teraz drogą prostą dostało się do rady ministrów. Gorszący był wówczas zatarg z arcybiskupem Puzyną. Zapewne można ten szkopuł dziś wyminąć przez wzniesienie sarkofagu po za katedrą. Ale wybór Krakowa, dawniej tłumaczący się warunkami politycznemi, dzisiaj nie jest uzasadniony.

Dziecinną byłoby zabawką przenoszenie współzawodnictwa między Mickiewiczem a Słowackim w ciszę grobów. Bo to tak wygląda: Mickiewicz pochowany na Wawelu, Słowacki nie może być gorszy. Może i lepszy, ale inny. Mickiewicza naród tam umieścił nie dla tego, że pisał piękne poematy, lecz że był w czasach niewoli królem-duchem narodu, a Słowacki tylko Króla-Ducha pisał.

Wawel jest królewski, Wawel jest legendą, której twórcą jest naród. Trzeba pozwolić narodowi być też poetą. Nawet za czasów austryjackich na to pozwalano. Dlatego Wawel odtwarzany jest z drobnych składek ludności. Czem jest Wawel, powinniśmy wiedzieć, skoro po Mickiewiczu i Słowackim mieliśmy Wyspiańskiego, a ten chyba dostatecznie wypowiedział ideę Wawelu.

Tego odczucia subtelnych spraw duchowych i literackich nie odmawiamy nikomu osobiście, ale uważamy, że rada ministrów, zajęta polityką i formalną stroną stosunków, nie powinna administracyjnie załatwiać spraw, dostępnych tylko intuicji serca narodowego.

Uprzytomnijmy sobie, że zmieniły się czasy. Słońce już świeci nad Polską, nie rzucając cieniów od kordonów. Zupełnie inaczej, niż w niewoli, możemy urządzać sobie życie i rozplanowywać pomniki przeszłości. Nie spieszmy się z Wawelem, niech nas niecierpliwością nie przejmuje widok tego symbolu królewskości polskiej. Mamy za granicą prochy królów, które tutaj pogrześć należy. Któż powie, czy w przyszłości nie będzie jeszcze w Polsce królów?

Pomniki genjuszu polskiego stawać powinny wszędzie tam, gdzie młode jego pędy mają bujać, aby w nich znalazły swoje oparcie. Słowackiego czeka duch polski na wschodzie, jego własny duch, duch jego matki, która go tam wzywała za życia. A on jej wtedy odpowiadał z obczyzny:

Wiem, żebym ci wróceniem mojem lat przysporzył;
Mów, kiedy cię spytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz, nie idzie, oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli konający — nie iść na obrożę,
Lecz woli zamiast hańby — choć czarę rozpaczy!

Teraz nie byłoby już hańby wrócić w te strony kraju rodzinnego, niema już obroży. „Wróceniem swojem wieleby lat przysporzył“ duchowi polskiemu w swojej krainie, gdzie zostały z przed stu laty jego tęsknoty.

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szumnym potokiem,
Gdzie konwaiiją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady, —
Jeśli tam będziesz, duszo mego łona!
Choćby z promieni do ciała wrócona:
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jako orzeł obleci
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Tam w Krzemieńcu w kościele stoi wykuta w marmurze jego postać, brak tylko trumny w grobowcu. Tam nie śmiano marzyć, że przyjdzie kiedyś możność sprowadzenia tej trumny. A teraz do Krakowa. Dlaczego? Czy nie dla tego, żeby socjaliści mogli mowy wygłaszać na wzgórzu Wawelskiem, powołując się na cienie Słowackiego? Spełniłoby się smutne przeczucie poety:

Więc że mieć będę niespokojne łoże —
Smutno mi, Boże.

NAUKA I LITERATURA

NAUKA POLSKA

KASA im. Mianowskiego, rozszerzywszy ramy swego pierwotnego zadania, polegającego na udzielaniu pomocy pieniężnej uczonym, wystąpiła sama jako wydawca. Najpoważniejszem jej przedsięwzięciem było wydanie jedenastu tomów „Poradnika dla samouków“, z którego wyłonił się następnie rocznik, wychodzący od kilku lat p. t. „Nauka polska“, wykazujący „jej potrzeby, organizację i rozwój“. Świeżo ukazał się tom szósty. Zawiera on—jak poprzednie—rozprawy oryginalne, sprawozdania i regestry prac i instytucji, współczynnych w tworzeniu kultury. Z. Zaleski przedstawia rolę wyobraźni w twórczości naukowej. „Wyobraźnia ta przy całej swej różnorodności i zmienności skali natężeń nie jest ani wyższa, ani niższa od wyobraźni twórczej, produkującej w dziedzinie estetycznej... Życie — mówi Gaultier — jest dziełem naszej imaginacyi. Ażeby je odnowić i powiększyć, pojmujemy je innem, niż jest“. Z. Mysłakowski rozważa sprawę wychowania pracownika naukowego. Jest to przedmiot ważny i ciekawy, autor oświetla go z rozmaitych stron, wskazuje warunki i główne momentny rozwijania się umysłu badawczego. Ale jego wykład jest zbyt sumaryczny, dla zwykłego czytelnika nie dość jasny, stanowiący jak gdyby monolog specyalisty dla specyalistów. Nasi filozofowie ciągle pozostają pod wpływem ezoterycznego stylu niemieckiego, zrozumiałego tylko dla wtajemniczonych, podczas gdy pisarze francuscy i angielscy w najtrudniejszych kwestyach umieją mówić przystępnie. Osiągają oni tę jasność nie tylko zapomocą prostych wyrażeń, lecz także zapomocą ilustrujących je przykładów. P. M. zamyka swój wywód bardzo słuszną uwagą, o której w nim nie pamiętał, że „przyszła myśl polska musi narastać w ostrem powietrzu realnych zagadnień, nie w gąszczu słów“. Do tej uwagi dołącza również trafne pytanie: coby zostało z Hoene-Wrońskich i Trentowskich, gdyby do nich zastosować „brzytwę“? Pytanie to postawione zostało z tem większą słusznością, że koło pierwszego z tych fantastów odbywa się obecnie nabożny a bezmyśny taniec wielbicieli, „którzy z bajarza chcą zrobić mesyasza nauki“.

W jednym z poprzednich tomów „Nauki polskiej“ zrodził się projekt badania „tajników myśli twórczej“ z materyału dostarczonego przez jej przedstawicieli w wyznaniach osobistych. Dwie takie autobjografje zostały ogłoszone. Pierwsza pod głoskami B. C. jest samoopowieścią bardzo pobieżną, która nie daje podstawy do żadnych wniosków ogólnych. Druga, podznaczona literami F. B., jest bardzo szczegółową historją życia i prac naukowych znanego historyka, opatrzoną

objaśnieniami psychologicznemi. Ale i ta nie otwiera szerszego widoku badawczego. Jest ona bardzo ciekawa, bo nas zaznajamia ze szczegółami biograficznemi człowieka, który zajął wysokie stanowisko naukowe. Wątpimy jednak, czy kto zdoła wykrzesać z niej iskrę oświetlającą którykolwiek z „tajników myśli twórczej". Wogóle jest to droga badań bardzo śliska i zawodna. Bo chociażbyśmy nawet byli przekonani, że ktoś obserwuje się ściśle i mówi o sobie prawdę, to jeszcze nie jesteśmy wcale pewni, albo raczej jesteśmy pewni, że nie mówi całej. Na rozwój umysłowy człowieka wpływają nie tylko warunki nadające się do ujawnienia, jak: otoczenie, szkoła, książki, położenie materjalne, znajomości i t. d., ale również stosunki rodzinne, przelotne związki, błędy, przygody, choroby i inne wypadki, nienadające się do pokazu publicznego. Jak trudno tu o szczerość, dowodem fakt, że w całej historyi literatury świata, zawierającej niezliczoną ilość pamiętników, jeden tylko autor odważył się na rozebranie swej duszy do naga — Rousseau.

Bardzo cenną, bo bardzo pouczającą jest rozprawa A. Tretiaka o nauce w Anglji. Stanowi ona szkicowy obraz instytucji i urządzeń dziwnych, przestarzałych, zdawałoby się, zupełnie niezdolnych do wydania jakiegoś większego pożytku naukowego, a jednak utrzymujących wspaniałe ognisko wiedzy. Dwa podobnej treści artykuły o organizacji nauki w Holandji i na Węgrzech są tylko notatkami.

Mamy dalej w tym tonie zarys dziejów popierania nauki i nauczania w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu oraz ofiarności na cele naukowe w obrębie Królestwa Polskiego od r. 1800 do dni naszych, wreszcie obfitą kronikę, wyczerpującą wszystkie instytucje i środki, które służą nauce polskiej.

Taki jest ostatni, godny uznania czyn wydawniczy Kasy im. Mianowskiego.

A. Ś.

KSIĄŻE NIEZŁOMNY

PAMIĘTNIKI polskie mają w literaturze powszechnej cechy zupełnie odrębne, do żadnych innych niepodobne. Powstawały po katastrofach narodowych, przeważnie pozakrajem, na obczyźnie. Po stłumieniu każdej walki o niepodległość, walk kościuszkowskich, listopadowych i styczniowych, rzesze powstańców, o ile ich nie wystrzelano, nie wywieszano lub nie wymordowano w aresztach śledczych, zapełniały więzienne twierdze różnych dalekich krajów, od austrjackich lochów w górach Tyrolu, aż do rosyjskich katorg Wschodniej Azji. Wielu uszło z rodzinnej ziemi, aby służyć pod obcemi sztandarami lub też na emigracji organizować dalsze próby walki o wolność. Więc i wspomnienia ich, rzucone na papier, są nie tylko świadectwem widza spółczesnych zdarzeń, ale niejako samą historją, tekstem roli aktora w dramacie, rozgrywanym równocześnie na kilku scenach świata. Obce tło, miasta włoskie, Szwajcarja, Londyn, Paryż, czy w znacznej części pustynie Syberji, nadają tym przeżyciom koloryt malowniczy, niezwykły, egzotyczny.

Pamiętnik żywota księcia Romana Sanguszki [1]) po powstaniu 1831 r. wygnańca, katorżnika i sołdata, nie jest pamiętnikiem w dosłownem znaczeniu słowa. W okolicznościach w jakich żył, prowadzony tysiące wiorst piechotą, przykuty do żelaznego drąga, ku większemu pohańbieniu, razem ze zwykłymi zbrodniarzami, wtrącany w etapowych „ostrogach" w kaźń błota i robactwa, nie mógł spisywać wrażeń. Ledwo czasem, w odległych od siebie chwilach, omyliwszy czujność dozoru, zbolałą ręką kreślił na kartkach urywane słowa tęsknoty. Dziennik i listy matki, i listy ojca, pisane w oczekiwaniu powrotu syna, złączone zostały w tę tragiczną i niepospolitą księgę. Bo co jest w nich, w stosunku do innych, licznych wygnańczych i więziennych wspomnień, nieporównanem, to to, że Roman Sanguszko mógł swej katorgi uniknąć, kilkoma, w czasie długiego śledztwa, słowami zaparcia się istotnych powodów udziału w powstaniu, mógł nieraz z udręki więzienia uciec. Ale, podobnie jak książę Józef Poniatowski, aby zachować godność polskiego żołnierza, wolał zginąć, niż ugiąć się przed władzą, której nie uznawał, niż poddać się, odwoływać, przepraszać.

Cierpieniu ulegał ochotnie. Jakie to były cierpienia, gdy wleczony etapem, het, w nieznane przestrzenie, ku granicom chińskiej Tatarji po bezkresnych, zapomnianych od Boga, skalistych i lodowych wertepach, wśród ciekawości gawiedzi zapadłych osad azjatyckich, szedł całemi latami, w łachmanach w brudzie, w kajdanach, pod batem konwojentów, a w milczeniu i bez jednej skargi, — tego nie wypowiadają jego listy, hartowne, uśmiechnięte przez łzy, pogodne. Dopiero mękę tę jak w zwierciadle może czytelnik dojrzeć w listach księżnej Izabeli, matki wygnańca, matki rzymianki. Współczuli mu towarzysze broni i ofiarą własnego życia próbowali wyrwać z niewoli, od zniewag więziennej straży bronili go zbrodniarze, a nawet, u granic Chin, podziwiał niezłomność jego serca „sułtan kałmuków", i nad jego szczytną i smętną dolą zapłakał szczeremi łzami.

A dola to była chmurna, bez jednej gwiazdy nadziei. Inni, szczęśliwsi, mogli z pomocą łapówek korzystać z udogodnień czy nawet, cudem, uzyskiwać ułaskawienia. Jego car i rząd carski strzegł i prześladował z wyjątkową mściwością. Nie za sam udział w powstaniu. To nie byłoby dostatecznym powodem. Ale, że tak w śledztwie jak i w więzieniu, na wygnaniu, stale trwał przy pierwszem, złożonem w mundurze oficera kawalerji narodowej, zeznaniu, że zawsze walczył przeciw carskiej przemocy „z przekonania". Ta dewiza była w ustach człowieka jego nazwiska, umysłu, stanowiska i fortuny jawnym i hardym wobec państwa i zagranicy protestem przeciw gwałtowi i żywym dowodem polskości ziem kresowych.

Całość wspomnień tak, jak ich główna osnowa, równie barwna, przesycona wrażliwością, zajmująca. W urywanej przygodnej korespondencji skazańca z rodziną przewijają się sylwetki postaci ówczesnego rosyjsko-polskiego świata. Car Mikołaj I, carowa, generał Benckendorf, coś w rodzaju neronowskiego Tygellina, dyplomaci zagraniczni, arystokraci polscy, namiestnik Królestwa Polskiego, zdobywca Warszawy, Paskiewicz, Murawjew amurski, więźniowie i wygnańcy polscy, opiekunka wygnańców, Róża Sobańska, zwana „różą Sybiru", oficjaliści ze Sławuty, kozacy dworscy, chłopi i typy różnych dzikich plemion Sybiru, Kubania, Kaukazu. Ukazani szkicowo, ale zawsze z żywem odczuciem, plastycznie, już samą swą istnością na dziejowej widowni przedstawiają pod względem obyczajowym i politycznym wierny obraz tego czasu.

Na ogłoszenie drukiem czekały te wspomnienia dziesiątki lat, troskliwie ukrywane przed szpiegowskiem okiem władz. Wreszcie teraz zostały wydane w naukowem opracowaniu, w ozdobnej, zewnętrznej szacie. Na wstępie prawnuk Romana Sanguszki, młody Józef hr. Potocki, skreślił z talentem dzieje rękopisu „chluby i klejnotu rodzinnego archiwum w Antoninach na Wołyniu".

---

[1]) „Roman Sanguszko, zesłaniec na Sybir z r. 1831. W świetle pamiętnika matki księżnej Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej, oraz korespondencji spółczesnej. Z nieznanych dokumentów tłomaczyła i przypisami opatrzyła K. Firlej-Bielańska. Słowo wstępne hr. Józefa Potockiego. Przedmowa Henryka Mościckiego". Warszawa, Gebethner i Wolff 1927 r.

Dalej historyk profesor Henryk Mościcki scharakteryzował polityczną atmosferę polistopadowej w zaborze rosyjskim niewoli. A pani K. Firlej-Bielańska w przejrzystym układzie zamieściła listy i opatrzyła je literackiemi i naukowemi przypisami. Dokonała pani Firlej-Bielańska pracy żmudnej i pięknej. Te listy promienne były tajne, nieledwie szyfrowane. Dopiero znawstwo i delikatne odczucie epoki odsłoniły ich wartość i nadały im znaczenie historyczne. Tak ogłoszone złożyły się na pełny życiowej głębi psychologiczny portret bohatera, w odblasku ideałów 1831 roku.

W zawierusze odległych zdarzeń jaśnieje, w aureoli męczeństwa, rycerska postać polskiego Księcia Niezłomnego, postać z kryształu, o orlich skrzydłach u ramion i sercu czystem i pokornem.

ANTONI WYSOCKI

BAJKI

W naszym ogrodzie literackim wszystkie grzędy już kwitną. Ukazały się nawet bajki. Wyszedł mianowicie tom „Bajek" Juljana E j s m o n d a (Warsz. 1927. Nakładem autora). Humor dobroduszny góruje w tych bajkach nad satyrą. Celują też one zręcznością wiersza i najczęściej oryginalnością formy. W treści wiele uzależniło się od naczelnej zasady, w której autor powiedział sobie, że jest w górze, jak ptak, ponad partjami. Stąd owe *mores*, które usiłuje *ridendo castigare*, są z poza świata politycznego. Ponieważ złe obyczaje w życiu publicznem, mają swoje przyczyny polityczne, autor więc, bojąc się ich dotykać, musi być zdawkowym i nie wychodzi poza kryterja potocznie w prasie utarte.

Obecne dzieła moralno-publicystyczne i bajki będą miały w historji literatury rys charakterystyczny obojętności na sprawy zasadnicze. Autorzy bowiem, pragnący być własnością ogólną, widząc, że sprawy zasadnicze (np. prawa narodu) są przez demokrację radykalną i liberalną kwestjonowane w sposób zasadniczy, usuwają się od nich. Skutek jest ten, że satyra zacieśnia się dobrowolnie w szrankach, jakby ją krępowała najsroższa cenzura.

Najjaskrawiej narzucającym się przedmiotem satyry dzisiaj jest parwenjuszostwo polityczne gawiedzi zdemagogizowanej, nie wiedzącej co począć z Polską, która jej dostała się w schedzie po Chrobrych, Batorych, Sobieskich. Spadkobiercy Krasickich, Trembeckich i Niemcewiczów uwierzyli, że Polska jest zagadnieniem partyjnem. Tymczasem to jest sprawa moralna, która powinna przedewszystkiem narzucać się dzisiejszym Lafontenom-moralizatorom. Dopóki prosty odruch moralności nie zrzuci z pojęcia Narodu kajdan partyjności, dopóki poeci będą „w górze" nad nią, bo im się będzie zdawało, że Polska jest tylko sprawą „z prawa", dopóty wszystkie zagadnienia moralne w obyczajach będą nie do rozwiązania, a satyra na ich temat musi być pobłażliwa, łagodnie humorystyczna.

Uwagi powyższe nie ujmują indywidualnych wartości poezji Ejsmonda. Jest dzieckiem czasu, a reforma stosunków obyczajowych nie od bajki musi się zacząć. Nie każdego stać na odwagę Arystofanesa. Społeczeństwo nie daje jeszcze dostatecznego oparcia tym, którzy walczą o moralne podstawy życia narodowego. Nie wątpimy, że w miarę poprawy stosunków ładny talent Ejsmonda coraz głębsze zadania będzie podejmował, zaostrzając skalpel satyry.

„GODZINA BIJE"

Pożyteczną książkę napisała p. M. H. S z p y r k ó w n a, ceniona literatka i poetka: „Godzina bije" (Lwów. Ossolineum 1927). Jest to podręcznik dla „wszystkich, którzy w tym wielkim okresie w samodzielne życie w samodzielnej Polsce wstępują." Autorka budzi obywatela: „Godzina twojej samodzielnej, odpowiedzialnej, obywatelskiej pracy w nowej Polsce — bije!". Książka pisana jędrnie, jasno, rzeczowo (zgoła nie po kobiecemu — proszę wybaczyć!) składa się z szeregu krótkich szkiców, poświęconych zagadnieniom etyki, uspołecznienia, pracy — a wszędzie mamy zdrowy i wyraźny wniosek.

Przedewszystkiem trzeba znaleźć, odkryć swoje powołanie — „dziedzinę pracy, myśli i czynu, której przez nam właściwe cechy osobiste odpowiadamy najbardziej". Trzeba poznać siebie i wsłuchiwać się krytycznie, trzeba obrawszy zawód, umieć w nim iść naprzód. Los nam dopomoże, o ile mu własnym wysiłkiem podamy wdzięczne tworzywo, aby zeń coś pięknego wyrzeźbił.

W szkicu „Zwycięsca dnia powszedniego" jakże trafnie mówi autorka, że: „Niedbały pracownik państwowy i zwykły kryminalista dadzą w sumie równoważne zło. Który jednak jest bardziej szkodliwy? Bodaj pierwszy!" Społecznie — tak! A o psychice polskiej czytamy: „Stulecia zaborów zostawiły nas jedynie przy bohaterskiej tradycji, podczas gdy inne narody rozwinęły przez ten czas już nowoczesne tradycje państwowe polityczne, dyplomatyczne, ekonomiczne... musimy stworzyć elementarne wykładniki obywatelskich postulatów nowego życia codziennego, których nam nasza tradycja nie przekazała, a których brak dotkliwie na losach państwa odczuwamy".

W stosunku do przestrzeganego zła i bezprawia obowiązuje najbardziej aktywne stanowisko. W płaszczyźnie pracy trzeba walczyć z „trzema żądłami" — spadkiem po zaborcach; musimy zwalczać spekulację na minimum pracy, uchylanie się od świadczeń, obojętność na niszczenie mienia państwowego, szykanowanie wybitnych jednostek, niechęć do inicjatywy, nieufność, obluźnienie spójni narodowej, zróżniczkowanie dzielnicowe i partyjne, bo inaczej „pamiętajmy, że nawet Chrystus wskrzesił Łazarza tylko — raz."

Książkę Szpyrkówny trzeba polecić gorąco wszystkim, zwłaszcza dorastającej młodzieży i młodym pracownikom na każdem polu.

K.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W Krakowie urządzono 20 marca uroczystą akademję na cześć Władys awa O r k a n a (Smreczyńskiego) z powodu 30-lecia jego pracy pisarskiej Na uroczystość tę przybyły delegacje górali i rodzina pisarza z Poręby Wielkiej (Nowotarszczyzna), miejsca jego urodzenia. Wieczorem w teatrze wystawiono dramat Orkana „Franek Rakoczy." Przedstawienie poprzedził wiersz Emila Zegadłowicza z Gorzenia Górnego.

Hołd tem należał się zasłużonemu pisarzowi, wiernemu górom i ludowi. Orkan (ur. 1876) należy do tych źródłowych pisarzy, którzy odradzają literaturę dopływem soków twórczych z ziemi rodzimej. Tacy poeci jak Orkan, później Zagadłowicz, trzymujący się swego środowiska i stamtąd nawiązujący swojszczyznę z prądami świata cywilizowanego, tworzą niejako cembrowinę w stokach źródlanych, skąd bije wiecznie żywotna siła twórcza. Ona to odżywia bezpośrednio wielkich poetów z nizin, jak Kasprowicz, i pośrednio sączy świeżą krew w żyły cywilizacji polskiej, tak skłonnej do uwiądu, ilekroć się odetnie od źródeł własnych.

Redakcja „Myśli Narodowej" składa znakomitemu pisarzowi Władysłowi Orkanowi życzenia, aby długo jeszcze pracował dla literatury z tą samą czystością serca.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jednem z rozgałęzień działalności Polskiej Macierzy Szkolnej jest wydawanie tanich książeczek, oświetlających najważniejsze zagadnienia życia bieżącego i wszczepiających w umysły czytelników pierwiastki ideału.

B. S u c h o d o l s k i woła w tytule swej broszury „Kochaj życie — bądź dzielny!" Dla poparcia tej zachęty dowodami, przechodzi z czytelnikiem wszystkie dziedziny i wskazuje w nich postępy i dobrodziejstwa. Oswoiliśmy się z domem i umiemy cenić jego wartość, gdy stracimy „dach nad głową". A jakże wielkie są zdobycze naukowe, kultura uczuć i woli! „Świat, w którym żyjemy — kończy swe wywody autor — zyskuje, dzięki długotrwałej pracy ludzi, różnorodne dobra... Życie każdego z nas przebiegła wśród tych stworzonych i tworzonych wartości i dóbr. Od nas zależy, czy będziemy z nich czerpać, czy też przejdziemy obok nich obojętnie. Gdy z nich skorzystamy — życie nasze stanie się lepszem, przyjemniejszem i cenniejszem. Od nas więc samych zależy, aby takiem było. Tak samo od nas zależy, z jaką mocą będziemy się starali pracować i pomnażać dobra świata. Im więcej i wytrwalej będziemy to czynić, tem więcej nasze będzie miało wartości".

Na poranione i konające dusze naszego czasu książeczka ta będzie plastrem kojącym.

*

Wielką wartość popularyzacyjną posiada wydana również przez księgarnię Macierzy Szkolnej broszura A. R z ą d a, p. t. „Warunki gromadzenia kapitałów". Autor uniknął, albo ściślej mówiąc — umiał uniknąć specjalnego żargonu, który posiada każda mądrość i którego chętnie używa każdy mędrzec. Ile razy nawet ukształcony czytelnik musi długo namyślać się, ażeby odgadnąć znaczenie jakiegoś nowoutworzonego lub jedynie dla wtajemniczonych zrozumiałego wyrazu! Ile razy na wykład przedmiotu traci znaczną część swej wartości przez to, że jego myśli są podane w futerałach specjalnej gwary! Bardzo łatwo zrobić z niej nieprzeniknioną powłokę w sprawach finansowych.

Otóż Rząd tłumaczy gruntownie, jasno, dla każdego zrozumiale, jak gromadził się kapitał przed wojną, co się z nim stało po wojnie, jak go u nas zniszczyła niedołężna i niesumienna gospodarka rządowa, jakiego ona dokonała rabunku na majątku społeczeństwa, jak znikły oszczędności, jak one są dziś skąpe i lękliwe. Wszystko to wypowiedziane zostało z wielka znajomością rzeczy, prosto, spokojnie, przekonywająco. Broszura ta zasługuje szczególnie na szerokie rozpowszechnienie.

*

Wyszedł z druku zeszyt 3 i 4 rocznika 29 „Przeglądu Filozoficznego" Na bogatą treść numeru składają się rozprawy: „Myśl przewodnia metodologji Fr. Bacona" T. Kotarbińskiego, „Mickiewicza „prawdy żywe" A. Zieleńczyka, „Geometrja logiki kategorjalnej" B. Bornsteina, „Kilka uwag o uogólnianiu" T. Czeżowskiego, „Założenia logiki tradycyjnej" K. Ajdukiewicza, w dziale dyskusji: „W sprawie propedentyki filozofji" zabiera głos St. Ossowski. Dopełniają treści zeszytu: „Filozofja porównawcza", studjum krytyczne St. Schayera, „Sprawozdania z książek", oraz artykuł „Rocznica S. Petrycego" p. Wąsika. Zeszyt zdobi, reprodukowany po raz pierwszy z portretu w Galerji Łazienkowskiej, wizerunek Bacona.

*

W wydawnictwach Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie ukazał się świeżo pierwszy zeszyt dzieła prof. Stanisława Grabskiego p. t. „Ekonomja Społeczna". Całość dzieła tego składać się będzie z dziesięciu zeszytów; każdy po sześć arkuszy druku przeciętnie, poświęcony będzie odrębnemu zagadnieniu społeczno-gospodarczemu. Oto ich porządek: 1) Socjologiczne podstawy ekonomji. 2) Rozwój nauki ekonomji. 3) Zasadnicze pojęcia społeczno-gospodarcze. 4) Gospodarstwo i przedsiębiorstwo. 5) Rynek. 6) Kapitał. 7) Stosunki robotnicze. 8) Ustroje społeczno-gospodarcze. 9) Współczesny kapitalizm. 10) Tendencje rozwojowe doby obecnej rynku pieniężnego, układu własności i stosunków robotniczych. Dzieło powyższe, zakrojone na szeroką skalę, przyczyni się niewątpliwie do zrozumienia i pogłębienia życia społeczno gospodarczego w szerokich kołach inteligencji polskiej.

*

Nakładem „Wydawnictwa Polskiego" (Lwów — Roznań) wyszła w przekładzie Leopolda Staffa książka znanego powieściopisarza i krytyka artystycznego, K. Mauclair'a, p. t. „Florencja". Książkę tę, wydaną bardzo pięknie, ozdobioną 75 reprodukcjami główniejszych pomników artystycznych Florencji, weźmie z przyjemnością do rąk każdy, kto się interesuje sztuką i wogóle genjuszem twórczym Toskanji.

*

W przekładzie Bohdana Wydźgi wyszły słynne w dziejach nietylko twórczości poetyckiej Francji „Kwiaty zła" Karola Baudelaire'a (Gebethner i Wolff). Poezje Baudelaire'a niejednokrotnie były przekładane na polski, przekładu jednak całości jego utworów nie mieliśmy dotychczas i dopiero dzisiaj daje nam ją zbiór B. Wydźgi.

Tłumacz zaopatrzył swój przekład nader cennemi przypisami, ułatwiającemi zrozumienie wielu niejasnych okoliczności, związanych z twórczością Baudelaire'a. Ostatniemu przekładowi „Kwiatów zła", poświęcimy wkrótce więcej miejsca.

*

Przy sposobności nadmieniamy tu jeszcze, że przed ukazaniem się przekładu „Kwiatów zła", księgarnia E. Wende i S-ka wydała dwa studja Baudelaire'a o „Winie" i „Haszyszu" („Wino i Haszysz". Szuczne Raje), również w przekładzie p. B. Wydźgi. Do przekładu powyższych prac Baudelaire'a prozą, tłumacz dołączył szereg poezyj Baudelaire'a, należących do cyklu „Kwiatów zła", a związanych wspólnością myśli ze szkicami o „Winie" i „Haszyszu".

*

W 9-ą rocznicę ukończenia przez korpus Dowbora walk z bolszewikami pod Bobrujskiem, Stow. Dowborczyków wydało „Placówkę" z licznemi ilustracjami. Na treść składają się artykuły: Józefa Dowbór-Muśnickiego, Ant. Sadzewicza, Ign. Okszy-Grabowskiego, ks. dr. Tad. Jachimowskiego, Jul. Podoskiego, Stanisława Piaseckiego, gen. E. de Henning Michaelisa, J. Burhardta. W dziale literackim: wiersz Or-Ota, J. Weyssenhoffa szkic „W pierwszym korpusie" i Wacława Filochowskiego nowela „Weneda".

(Cena zeszytu 2 zł. Warszawa, Nowy-Świat 40, konto w P. K. O. Nr. 12.571.)

U SŁOWIAN

Istniejący od roku we Lwowie Klub Polsko-Czeskosłowacki rozwija ożywioną działalność. W dniu 7 marca b. r. klub urządził uroczystą akademję ku uczczeniu 77-ej rocznicy urodzin prezydenta Masaryka. Akademja ta odbyła się w sali Rady miejskiej we Lwowie i zgromadziła elitę lwowskiej publiczności, przyczem był reprezentowany cały słowiański Lwów, bo byli obok Polaków i Czechosłowaków Rusini i Rosjanie, oraz bawiąca we Lwowie na studjach młodzież jugosłowiańska i bułgarska. Na program Akademji złożyły się: przemówienie wstępne członka zarządu klubu rektora Akad. Weter. dr. Moraczewskiego, odczyt konsula czeskosł. we Lwowie p. Stilipa p.t. „Walka o wolność Czechosłowacji zagranicą w czasie wojny światowej", śpiew chóru techników (dwie pieśni czeskie), deklamacja p. L. Kielanowskiego („Śmierć Žižki" — Romanowskiego i „Hymn słowiański" Sv. Cecha), przemówienie ze strony czeskiej d-ra J. Macurka z Pragi, oraz hymny czeskosłowackie i polskie (chór techników). Uroczystość tego rodzaju jest dowodem wzmonienia się przyjaźni polsko-czeskosłowackiej.

*

Wśród stowarzyszeń wzajemności słowiańskiej w Polsce, założona w r. 1923 Liga Polsko-Jugosłowiańska we Lwowie jest jednem z najczynniejszych. Bilans działalności Zarządu w r. 1926 przedstawia się nader okazale. Z przedsięwzięć Ligi w tym czasie wyliczyć trzeba następujące: Urządzenie we Lwowie i na prowincji szeregu wykładów krajoznawczych o królestwie SHS z dużą ilością barwnych przeźroczy, prowadzenie nadal kursów jęz. serbskochorwackiego dla członków Ligi (niestety nielicznie uczęszczanych), sprowadzenie w styczniu 1927 do Lwowa z Zagrzebia wystawy grafiki jugosłow. (300 eksponatów i przygotowanie (z pomocą T-wa Przyj. Sztuk Pięknych) objazdu tej wystawy po całej Polsce, dalej utrzymywanie żywego kontaktu z pokrewnemi organizacjami w królestwie SHS

*

i urządzenie w dniu 1 grudnia 1926 r. w 8-mą rocznicę zjednoczenia Jugosławji uroczystej akademji. Nadto Zarząd ukończył przygotowania do wydania w r. b. polskiego przewodnika po Jugosławji i do urządzenia we Lwowie wielkiego reprezentacyjnego koncertu muzyki jugosłowiańskiej. Ligę w pracach jej wspomagało istniejące przeszło od roku we Lwowie „akademickie koło Przyjaciół Jugosławji" działające wśród młodzieży. Nowy niedawno wybrany zarząd Ligi przygotowuje szereg wystąpień propagandowych. Przewodniczącym Ligi pozostał nadal p. Adam Karchesy, natomiast p. Henryk Batowski, pełniący od dwu lat obowiązki sekretarza, ustąpił ze swego stanowiska. Na jego miejsce wybrano Chorwata, lektora Franjo Crneka.

*

Jak zwykle ogromnie opóźniony, wyszedł 4-y numer XX rocznika sofijskiego kwartalnika „Sławjanski Głos" (Głos Słowiański) za r. 1926. Numer ten zawiera: Idea słowianofilstwa i wspólności słowiańskiej (Srećko Kirin). Stosunki między Słowianami w r. 1926 (M. Bobczew), Jedność słowiańska (M. Muret), Jovan Cvijić (St. Romański), Carogrodzka konferencja (D. Usta Genczewa), i i. Statystyczny artykuł Bobczewa przedstawia m. in. coraz lepszy rozwój stosunków polsko-czeskosłow. natomiast wykazuje, że w Polsce mało się obecnie pracuje dla zbliżenia polsko-bułgarskiego. Tymczasem z kroniki na końcu zeszytu dowiadujemy się, że sofijskie Towarzystwo Polsko-Bułgarskie działa intensywnie nadal.

*

Drugi numer praskiego miesięcznika „*Slovansky Prehled*" (R. XI) przynosi: Liryka Jana Kasprowicza (M. Szyjkowski), O polityke słowiańską (J. Slawik), Polska a wojna światowa (E. Janousek), Literatura serbsko-chorwacka po wojnie (D. Prohaska), dalej przegląd polityczny i kulturalny życia słowiańskiego. Podkreślić należy piękne studjum prof. Szyjkowskiego poświęcone syntezie liryki Kasprowicza. Studjum Janouszka na podstawie źródeł omawia rok 1916 na ziemiach polskich, manifest dwu cesarzy i akcję w Piotrogrodzie.

*

Zwrócić należy uwagę na nader interesujący prąd kulturalny, jaki wszczął się od niedawna w Jugosławji. Jest to „ruch kulturalno-etyczny i socjalno-wychowawczy", szerzony przez sarajewskiego profesora Miljenkę Vidovića. Coraz intensywniej rozszerza się ten ruch w Bośni, w Dalmacji i w Chorwacji. znajduje zwolenników tak wśród ludu jak i wśród inteligencji. Program tego ruchu, oparty na wszechludzkich zasadach humanitarności i braterstwa, posiada jedną specyficzną cechę. Oto, głosząc dekadencję współczesnej kultury europejskiej, zapowiada odrodzenie się Słowian, których uważa za jedynie zdolnych do objęcia przodownictwa w świecie, dzięki ich walorom psychicznym. Przyczem niema tu bynajmniej mistycyzmu, a chociaż wpływy wychowawcze Vidovića nie wykazują politycznych następstw, można określić jego program jako zdrowy i godny uwagi.

*

Trzeci zeszyt kwartalnika sofijskiego „*Sławjanski Głas*" (Cłos Słowiański) z r. 1926 (A. XX) przynosi: Do Towarzystwa Słowiańskiego (W. J. Niemirowicz-Danczenko), Stosunki serbsko-

bułgarskie w r. 1926 (Nik. Bobczew); Co to jest filologja słowiańska (G. Hjinskij); O międzystow. stosunkach kulturalnych i o zjednoczeniu Słowian (S. S. Bobczew); Strassmayer a Bułgarzy (tenże); Współpraca polityczna państw słowiańskich (D. Usta-Genczow); Stulecie ważnej książki słowianoznawczej (Fire Horak); Wrażenia z kongresu lekarzy słowiańskich w Białogrodzie (Chr. Pałamarew). — Godny uwagi przegląd stosunków serbsko-bułgars. pozwala cieszyć się ich stopniowem polepszaniem się i wzrostem poczucia słowiańskiego obu narodów,

*

Z francuskich wydawnictw słowianoznawczych zanotować należy pracę Alberta Mousset'a p.t. *Le royaume des Serbes, Croates Slovènes* której drugie wydanie wyszło ostatnio w Paryżu (Editions Rossard, pierwsze wyszło 1921 r.). Autor przerobił gruntownie swoją pracę, powiększając ją w dwójnasób. Uderza jedynie wyeliminowanie z książki tematów gospodarczych; podobno zamierzaa autor dział ekonomiczny królestwa SHS przedstawić osobno. Treść książki jest zatem wyłącznie polityczno-kulturalna, przyczem omawiając zewnętrzną i wewnętrzną politykę Jugosławji, traktuje ją autor wyraźnie z punktu widzenia interesów serbskich. Naogół jednak jest to znakomita monografja informacyjna o królestwie serbsko-chorwacko-słowieńskiem, jaka byłaby ze wszech miar pożądana w Polsce. (Jedyne u nas tego rodzaju dzieło „Jugosławja" T. Lubaczewskiego z r. 1921 jest zupełnie niewystarczające i pobieżne).

*

Problem słowacki doczekał się wreszcie przedstawienia ze strony autorytatywnej. Dotychczas pojawiały się publikacje o słowakach przeważnie tendencyjne, najczęściej ze strony węgierskiej, czasem i z czeskiej. Obecnie jeden z politycznych przywódców narodowych słowackich dr. Vavro Srobór wydał pracę, w zwięzłej formie dającą wszechstronny obraz kwestji słowackiej. Jest to *„Politycky problém Slovenska“* (Praha 1926). Z pracy tej odbiera się wrażenie, że niezadowolenie słowackie z połączenia z Czechami wypływało jedynie z małego wyrobienia politycznego, poprostu z dezorjentowania się po zrzuceniu panowania węgierskiego. Przyszłość słowaków jest tylko w ich dzisiejszej formie państwowego współżycia z Czechami. Obraz ruchów narodowych słowackich od pocz. XIX w. jest nader interesujący i godny uwagi.

LITERATURA ZAGRANICĄ

W najwytworniejszem broszurowem wydaniu ukazała się w języku francuskim odezwa inteligencji włoskiej, reprezentującej ruch faszystowski, do inteligencji wszystkich narodów. („*Manifeste des intellectuels italiens ant intellecuels de toutes les nations*“). Odezwa mówi o zasadach, dążeniach i celach faszyzmu. Podpisało się pod odezwą dwustu kilkudziesięciu wybitniejszych Włochów, wśród których mnóstwo profesorów uniwersyteckich, pisarzy, senatorów, deputowanych i t. p.

*

W włoskim miesięczniku ilustrowanym „*La Nuova Lettura*“ nmieszczony został (zeszyt marcowy) artykuł Egisto de Andreis'a o „Wpływach włoskich w Polsce“. Autor mówi tu głównie o Wilnie, podkreślając jego charakter łaciński. Przy sposobności autor streszcza dzieje przyłączenia wileńszczyzny do państwa polskiego.

*

Towarzystwo Enit (Organizacja przemysłu turystycznego *Ente Nazionale Industrie Turistiche*) wydało w małej (60 str.) broszurze przewodnik po historycznych miejscowościach walk z nieprzyjacielem podczas ostatniej wojny.

Przewodnik ułożony przez Sergiusza Gradenigo i zatytułowany; „Pola chwały", zawiera 3 mapy i 80 bardzo ciekawych ilustracyj. W przewodniku objęte są wszystkie ważniejsze miejscowości od Trydentu do Tryestu. Szczegóły historyszne, geograficzne dane i turystyczne uwagi niezmiernie pożyteczne dla tych, coby chcieli odbyć patryotyczną pielgrzymkę po sanktuaryach narodowych, czynią tę małą broszurę wielce pożyteczną. Dla Włocha trzy główne są sanktuarya narodowe od granicy północnej: Pasubio, Monte Grappa i Gorycja z wyżynami Sabotino i S. Michele. Około tych miejscowości osnuły się wszystkie główne wydarzenia wojenne ostatniej wojny i są one drogie każdemu sercu czującemu narodowo.

*

Wyszło obecnie u Payot'a nowe wydanie niezmiernie ciekawej książki *Le Gouvernement de la France*. Autor jej p. Joseph Barthélemy jest profesorem na fakultecie prawnym w Paryżu i w szkole nauk politycznych, a równocześnie deputowanym departamentu du Gers. Dzieło to może być uważane za podręcznik, napisany z głęboką znajomością przedmiotu, niezbędny zarówno dla Francuzów, jak i dla cudzoziemców, chcących poznać dokładnie instytucje polityczne dzisiejszej Francji. Autor w jednym tomie daje nam prawdziwy obraz całości życia publicznego Francji współczesnej, ujmując w sposób zwięzły i jasny cały ten skomplikowany mechanizm oraz kolejną ewolucję instytucyj politycznych, administracyjnych i sądowych.

*

P. Octave Aubry, któremu już zawdzięczamy ciekawą książkę o Marji Walewskiej, publikuje obecnie *Le Roman de Napoléon et Joséphine* (Fayard), będący właściwie historyczną powieścią, której moda zdaje się utrwalać coraz bardziej. Autor w sposób niezmiernie żywy wskrzesza w swoim utworze specjalnie epokę Dyrektorjatu, postacie Barras'a i bladego, chudego o przypłaszczonych włosach „Korsykanina", a obok nich cały świat kobiecy późniejszego Cesarstwa: piękną kreolkę Józefinę de Beauharnais, pp. Tallien, Récamier, de Staël. P. Aubry przedewszystkiem kreśli sylwetkę mało naogół znaną Napoleona zakochanego, pełnego porywów i entuzjazmu, a później nieszczęśliwego męza, którego listy do lekkomyślnej Józefiny są jednym wielkim hymnem miłości.

*

Thérèse Desqueyroux (Bernard Grasset) nowa powieść p. François de Mauriac jest niezmiernie subtelna analizą psychologji kobiety zbrodniarki, wychowanej bez głębokiej wiary religijnej, która popadając z jednego rozczarowania w drugie, obca dla swoich, dopuszcza się zbrodniczego czynu otrucia na osobie swego męża. Bernard Desqueyroux jednakowoż zostaje ocalony, a Thérèse najpierw zasekwestrowana przez rodzinę dla uniknięcia skandalu, później uwolniona idzie sama w świat i kończy na manowcach.

*

P. Marion Gilbert opisuje w *Les Masques de l'Amour* (J. Ferenczi édit.) historję wzruszającą młodej Annete, wychowanej bez opieki matki, a której najpierw babka, a potem ojciec troszczy się jedynie o wychowanie, a nie rozumieją potrzeb jej serca. Annette szuka przyjaźni, potem miłości, która jej pod rozmaitemi przedstawia się „Maskami", aż wreszcie danem będzie młodej dziewczynie spotkać godnego jej człowieka. Perypetje Annete odmalowane są z ogromną finezją jak też i ewolucje duchowe tego młodego wieku, równie skłonnego do wielkiego entuzjazmu jak i rozczarowania, które nieraz — i to wcześnie — wybija niezatarte ne duszy młodzieńczej piętno.

*

Kolonje coraz to większą odgrywają rolę w życiu Francji Dlatego też wzbogaca się z dnia na dzień niemal i literatura egzotyczna. *Confidences de métisse* (Fasquelle édit.) jest powieścią której autorka, p. Chivas-Baron znając doskonale obyczaje i życie odległych tych posiadłości daje nam obraz żywy, jakkolwiek dosyć realistycany Saigonu oraz specjalny kładzie nacisk na problemat przyszłości dzieci jakie mają tam europejczycy z tubylczemi kobietami, a które często jedne i drugie są przez nich opuszczane.

*

P. Clemenceau, który niedawno wydał „*La Vie de Demosthène* ukończył obecnie rodzaj traktatu filozofji politycznej, który zatytułował „*Au soir de pensée*".

*

P. Charles Le Goffic przygotowuje nową książkę *Madame Ruguellou*, mającą być studjum o skapstwie. Akcja tej powieści rozgrywa się w Bretanji w 1893 r. Autor kreśli w niej barwne sceny z życia i obyczajów politycznych tej prowincji.

P. André Maurois, znany autor *La vie de Shelley* zdaje się po części specjalizować w tym rodzaju utworów biograficzno-imaginacyjnych, gdyż wydać ma niebawem *La vie d'Israeli*, sławnego ministra królowej Wiktorji, któremu Anglja zawdzięcza zdobycie kolonji indyjskich.

*

Znany esteta, autor *La vie de Liszt*, p. Guy de Pourtalès publikuje w „Revue des Deux Mondes" bardzo ciekawe literackie studjum o Szopenie p. t. *Chopin ou le Poète*, które w kwietniu wyjdzie uzupełnione jako książka w wydawnictwach „*Nouvelle Revue Française*".

TEATR

„MŚCICIEL" ST. PRZYBYSZEWSKIEGO

OD czasu „Śniegu" (1903) nie widziałem żadnego dramatu Przybyszewskiego. Jak przez mgłę pamiętam „Złote runo". Znakomity pisarz wystawił teraz rzecz nową — jakby jubileuszową — „Mściciela". Publiczność, pomna rozgłosu, jakim się cieszyły jego dzieła młodzieńcze, powitała go ukazującego się na scenie kwiatami.

Nowa, młodsza widownia wsłuchiwała się w sztukę z natężeniem, aby zrozumieć myśl twórcy. Szukała komentarza do nagłych skrótów w sytuacji i powiedzeniach.

Czuła, że coś w tych scenach napozór realistycznych dzieje się symbolicznego, ale nie wszystko zdołała docenić do miary, jaką rreczom chciał nadać autor. Myśl Przybyszewskiego wróciła do swego dawnego tematu. Jako myśliciel i artysta, zrósł się z pewnym światopoglądem, który się stał stylem jego umysłu. Ciekawość krytyka mogła tyczyć modyfikacyj, czy i jakie do tej pory w tym poglądzie zaszły.

Przybyszewski wprowadził do literatury dreszcz metafizyczny. Wymijając „mózg", który jak utrzymywał— jest zawadą w sprawie poznania bezwzględnego, upatrzył widzeniem poetyckiem istotę bytu w „chuci", który jest na początku wszystkiego i stała się wszystkiem, co zrodziło się z grzechu pierworodnego. Symbolem tej żądzy twórczej i niszczycielskiej zarazem jest kobieta, wiekuista Ewa, matka grzechu. Ona jest tym węzłem tragicznym, zadzierzgającym życie zmysłów ze światem metafizycznym.

Grzech, którego matką kobieta, zrobił z chuci źródło cierpienia, dodając człowiekowi mózg, aby człowiek o tem wiedział,że na dnie wszystkiego czai się ból. I na to potrzebna była świadomość, aby niedoli dopełniło — sumienie.

Z tragicznego konfliktu między chucią a mózgiem jedyny wylot przez miłość, wylot na skrzydłach tęsknoty. Jedyna to droga do absolutu, a ta wiedzie przez kobietę. Tęsknoty do prapoczątku, gdzie byt, nierozszczepiony jeszcze na podwójność płci, trwa w ciszy i nieskalanej piękności Androgyne, są dla duszy jedynym ratunkiem z więzów doczesności.

Na świecie wszystko jest względne, prócz sztuki, dającej wizję absolutu. Piękność tych wizyj — ta wartość najwyższa — dostępna przez kobietę, przez nią też unicestwia się w chuci i grzechu. Skończoność wszystkiego i grzech — oto co człowiekowi zostaje wskutek owej złowrogiej obosieczności kobiety.

Wiele pracy wewnętrznej kosztowało Kasprowicza, zanim przezwyciężył pesymizm tego światopoglądu. Przypomnijmy cykl jego „Miłość", zresztą „Hymny". Było to jednak w swoim czasie widzenie filozoficzne zapładniające poetów, a w duszy Przybyszewskiego tak mocno zakorzenione, że przetrwało dotąd. Teraz robi z niem porachunek.

Do człowieka, który uwodził majakami piękna do ucieczki z życia, przyszedł Mściciel, przedstawiciel zwycięskiego na tym świecie Mózgu, aby go pokarać. Ale moc kary nie była w jego ręku, bo za narzędzie wziął kobietę, od której żądła zatruty, jej życiu kres położył. Natomiast zbawił człowieka ten, kto wprowadził w *mare tenebrarum* jego duszy pierwiastek Prawdy bezwzględnej i tę Prawdę skojarzył z pierwiastkiem Piękna. Wyrwał go przez to z tragicznego *misterium* na drogę ideału, ziszczanego na ziemi przez wiarę.

Oto w paru słowach główna myśl dramatu, którą poeta chciał wypowiedzieć, aby zaznaczyć w dziele sztuki swoje nawrócenie. Czy zdołał zaznaczyć to dość jasno, czy środki artystyczne go nie zawiodły?

Trudno oczekiwać po tylu dziełach w życiu stworzonych na modłą ustalonego poglądu, żeby pewna odmiana mogła spowodować przewrót w formach artystycznych. Przybyszewski ma już swoją rutynę, a zresztą chciał niewątpliwie rozwiązać zagadnienie na tej samej stopie artystycznej, na której je dawniej był stawiał.

Nigdy nie był realistą i nie mógł nim stać się dzisiaj. Jego scena to wizja pewnych kategoryj psychicznych, rozłożonych na osoby dramatu. Jest to gra symboliczna pewnych sił metafizycznych, dla których zdarzenia są tylko dekoracją. Stąd pochodzi, że autor sam ma nieraz trudności nie do pokonania i takież trudności stwarza aktorom, właściwie reżyserowi.

Weźmy samego mściciela Orzelskiego. Ma on wyobrażać racjonalizm nowej epoki poromantycznej, pracę techniczną (coś z organicznika pozytywistycznego), dar kalkulacji, siły pieniężnej, celowej prostolinijności, brak skrupułów (z ludu oczywiście pochodzi) i t. d. Wszystko to w symbolu się nie mieści. Postać daleka od realności. Trzeba Orzelskiego mieć młodym a bogatym. Ale skąd? Zarobił w ciągu siedmiu lat pracą jako robotnik! — tak sam powiada. A widownia dzisiejsza nie wierzy, żeby robotnik tyle oszczędził i z oszczędności mógł nabyć majątek ze „źrebcami", a nadto z „niewyczerpanej" kieszeni rzucał złotem gdzieś na morzu.

Do takiego tematu do takich wizyj pod pokrywką realizmu trzeba dostosować widownię za pomocą aktorów. Powinni tak zagrać, żeby widownia zrozumiała, że coś się święci niesamowitego na scenie.

Przybyszewski wprowadza dwie kobiety, ilustrujące dwa bieguny tej samej siły, której miano miłość: jadna działa niszczycielsko, symbol szatana „chuci" — to Iza; a druga symbol miłości metafizycznej, anioł tęsknoty. Mężczyzna też na instrumenty rozłożony. Dopiero przez sharmonizowanie metafizycznym dreszczem można z całości wydobyć coś symfonicznego.

Umiał w swoim czasie takie rzeczy robić Tadeusz Pawlikowski, ale to był wspólnik Przybyszewskiego. To było rozumiane wtedy z atmosfery literackiej. Autor, reżyser, aktorzy, wiele społem natrenowali się w nastrojach, zanim udało im się rozdwoić na „nagą duszę" i jej dekoracyjną powłokę ludzką. Dzisiejsi aktorzy grali bezpośrednio głosem własnym, jak każdą rzecz realistyczną. Jeden Chmieliński czuł się na rubieży zaświata, chociaż reprezentował to, co jest normalnością życia. W owym „Śniegu", o którym na początku wspomniałem, były takie same bieguny kobiecości: Ewa i Bronka. Ale trzeba było widzieć, ile szatańskości wydobyła z Ewy — p. Solska. Koncepcja poety odrazu stawała się jasna.

Zmieniają się epoki i ich style do tego stopnia,że odtwarzamy rzeczy niedawne, jakby w przekładzie z obcego języka. Ale sztuka i krytyka nie powinny żyć swoim dniem tylko.

Żeby niesamowitość swoich figur zaakcentować, autor wprowadzał zawsze do swych sztuk wprost alegorje żywe (w „złotem runie był Nieznajomy, w „Śniegu" — Niańka); w „Mścicielu" mamy trzy figury paskarzy, wprowadzone na ramę obrazu dla pogłębienia tła dziejowego. Pozatem warunki czasu nie są zaznaczone. Przez te figury Przybyszewski zwraca się do publiczności z obroną niejako swego pokolenia:

— Nie byliśmy może trzeźwi i ci, którzy wyznawali „Chuć" i ci, którzy hołdowali Mózgowi. Jednakże byliśmy romantykami, pożerała nas tęsknota metafizyczna. Baczcie, aby po nas nie zapanowali hołdownicy Brzucha. Widzicie, jak oni się śmieją z obu stron walczących — i z Piękna i z Rozumu!

Z. W.

Muszę w tem miejscu zaprotestować przeciwko zachowaniu się p. Przybyszewskiego po premjerze wobec krytyki p. Adama Grzymały-Siedleckiego w „Kurjerze Warszawskim". Sposób, w jaki napadł na niego w jednym z dzienników brukowych za bardzo dyskretną, powiedziałbym, pobłażliwą krytykę, przynosi ujmę starszemu pokoleniu pisarzy, którzy powinni dawać przykład dobrego tonu—nawet w stosunkach teatralnych. Tem przykrzejszy jest ten wypadek, że zbiega się ze zorganizowaną wsród braci pisarzy kampanją przeciw znakomitemu krytykowi, mającą na celu uniemożliwienie mu posterunku w poczytnym dzienniku, i czyni Przybyszewskiego w tej chwili ich wspólnikiem.

Złą przysługę zrobił Przybyszewskiemu, kto doradził mu drogą skandalu, jako sposób ratowania sztuki. Nie dosrzegł w hołdzie mu złożonym podczas premjery, że była to danina jubileuszowa, okazana w poczuciu społecznem jego wiekowi i dawnemu umiłowaniu sztuki, bynajmniej nie wywołana wartością sztuki obecnej. Za tę kurtuazję mu okazaną należała się sferom oświeconym Warszawy z jego strony właściwa jubilatom pewna... łaskawość. Nawymyślanie jednemu z najwybitniejszych tej sfery przedstawicielowi epitetami, godnemi walki ulicznej, nie odpowiada poziomowi stosunku. Tembardziej, że nie ma najmniejszej racji. Dowiódł tylko swojem wystąpieniem, że opuścił go krytycyzm, a nawet zwykła świadomość artystyczna.

NOWE KSIĄŻKI

Stefan Godlewski. Grabinka. Warsz. 1927. F. Hoesick. Str. 150.

Józef Al. Gałuszka. Ludzie bez twarzy. (Poezje). Warsz. 1927. Gebetner i Wolff. Str. 64.

Józef Birkenmajer. Opowiadania starej Margośki. Poznań (1927). Księg. św. Wojciecha.

H. Heine. Intermezzo liryczne (1822-1823). Przełożył Profanus. Warsz. (1927). Gebethner i Wolff. Str. 87.

Marjusz Zaruski. Na pokładzie Witezia. Trzecia podróż Witezia 1926 r. do Szwecji. (Z rysunkami J. Bobińskiego). Warsz. 1917. Yacht Klub Polski. Str. 42.

Alfred Brosig. Ołtarze gotyckie. Poznań 1927. wyd. Bibl. Zabytków Wielkop., Księg. Uniwers.(Fiszer i Majewski). Str. VIII-ki 29 tekstu, oraz 9 plansz w 4-ce.

Stanisław Majewski. Z tajemnic bytu. Duch wśród materji. Wyd. II. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. VIII i 363.

Placówka. 1919-1927. (Jednodniówka Dowborczyków). Warsz. 1927.

Al. Fruchtman. Jak zachować zdrowie. Bibl. dzieł wybor.

Jan Barreyre. Ślepy okręt. Tamże.

Jan Czekanowski. Wstęp do historji Słowian. Perspektywy antropologiczne, etnograficzne, prehistoryczne i językoznawcze. Lwów 1 27. K. S. Jakubowski (Lwowska Biblj. Slawist., tom III). Str. XII, 327 i mapy.

Karol Baudelaire. Kwiaty zła. Przełożył Bohdan Wydźga. Warsz. (1927). Gebethner i Wolff. Str. 836.

Roman Pilat. Historja literatury polskiej od czasów najdawniejszych do r. 1815. Wykłady uniwersyteckie. Opracowali Ludwik Bernacki i Stanisław Kossowski pod redakcją Ludwika Bernackiego. Tom I. Część pierwsza str. XI i 287, część druga str. III i 530. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Henryk Rolicki. Cele i drogi propagandy wywrotowej. Poznań 1927. Księg. św. Wojciecha str. 103.

Antoni Rząd. Warunki gromadzenia kapitału. Warsz. 1927. Księg. Polska Macierzy Szkolnej, Str. 40.

Bohdan Suchodolski. Kochaj życie—bądź dzielny. Warsz. 1927. Tamże. Str. 79.

Juljan Ejsmond. Bajki. Warsz. 1927. Nakładem autor. z potretem.

Jan Helan. Pan Szreniawa w Gdyni. Poemat żartobliwy. 1927. Nakładem autora.

Stan. Peliński. Oblicze polityczne Jana Kasprowicza. Bydgoszcz 1927. St. 44.

Stan. Sasorski. Z zagadnień kontroli państwowej Warsz. 1927. Wyd. „Dróg Naprawy". Str. 14.

Błażej Cendrars. Złoto. Warsz. Bibl. dzieł. wyb.

Muzyka, miesięcznik. Warsz., luty.

Ruch Literacki, mies. Warsz., luty.

Przegląd Współczesny, mies. Kraków, marzec.

Przegląd Powszechny, mies. Kraków, marzec.

Ateneum Kapłańskie, mies. Włocławek, luty.

NA MARGINESIE

Stańczycy krakowscy uczą się „internacjonału" w pocie czoła. Na jednem z zebrań ostatnich wykładał p. Beaupré, red. „Czasu", na temat mniejszości narodowych. A p. hr. Fr. Potocki w tymże „Czasie" ogłasza jako ćwiczenie seminaryjne to, co „*implicite* się tam znajdowało". Otóż to implicite tak się simpliciter przedstawia:

„Moment dziejowy, w którym obecnie żyjemy, wydaje się być właśnie momentem narastania tendencji internacjonalistycznych — narastania reakcji przeciwko przerostowi i przewadze nacjonalizmu, przeciwko temu absurdowi, do którego ten ostatni doszedł w praktyce życia i tym bezprzecznie szkodliwym i niebezpiecznym pojęciom dla całości rodu ludzkiego, do których doprowadził."

„Drugim momentem jest *interdependencja* gospodarcza. *Maszynizm,* pod którego znakiem płynie nasz rozwój ekonomiczny od stu lat, zasadniczo zmienił całą *infrastrukturę* gospodarczą społeczności ludzkiej — tą infrastrukturę, która od trzydziestu wieków naszego historycznego bytowania nie ulegała prawie żadnym zmianom, mimo, żeśmy w ciągu tego czasu nieraz głęboko zmieniali naszą fizjognomję polityczną, socjalną, umysłową i religijną."

„Otóż te dwa momenty — narastanie tendencji *internacjonalistycznych* i zmiana infrastruktury gospodarczej wraz ze stale wzrastającą interdependencją ekonomiczną — brać trzeba pod uwagę przy rozpatrywaniu zagadnień mniejszości narodowych. Jeśli nie działają one jeszcze dość wyraźnie dzisiaj, w przyszłości będą i muszą oddziaływać."

Bardzo to jak widzimy, uczone, postępowe, liberalne, międzynarodowe. Nieraz już Stańczycy zmieniali swoją „infrastrukturę", ale dzisiaj tak „głęboko zmienili swoją fizjognomję" pod wpływem „interpendencji" „internacjonalistycznej", że nie wiadomo, czy na rękach chodzą, czy to wogóle — fizjognomja. Przecież to samo można było napisać w „Naprzodzie."

*

„My chcemy, by Polska miała zdrowych moralnie i dojrzałych obywateli." — „Na pierwszy plan musi być wysunięta troska o wychowanie społeczeństwa." Słowa te wyjmujemy z artykułu wstępnego „Głosu Prawdy" (nr. 75). Podpisany pod niemi W. Stpiczyński, jedna z najbardziej zagadkowych postaci na maskaradzie, trwającej od maja r. ub. Ktoby pomyślał, że to właśnie wychowawca!

*

Podczas gdy pisarze prawdziwi, borykając się z biedą jak górnicy pracują po swoich szybach, aby dobywać kruszce z ziemi ojczyjstej, ogół szeroki stale ogląda w czasopismach oblicza rozbawionych u korytka pisarzy *minorum gentium,* nieustannie ucztujących przy reprezentacyjnych stołach. Nazywają się te ciągłe dożynki (plon niesiemy, plon) propagandą, na którą hojnie łożymy z podatków fundusze. P. E. N. Klub, który teraz właśnie bardzo przymilnie podejmował pisarza niemieckiego Manna, jest stałą organizacją dożynkową w literaturze.

Pisarze propagandy nie rozbierają się z fraków, nie wstają od stołów biesiadnych. Grecja płaci! Przy tych stołach dają o sobie wywiady do „Wiad. Lit.", tam znów głoszą sławę na Paneuropę przez „Pologne Litterraire". Tam też podpisują antypaństwowe odezwy w imieniu Ligi obrony praw człowieka, domagając się otwarcia więzień („swaboda"). Wreszcie, żeby wyrwać Polskę z więzienia narodowego, ucztują na cześć agentów międzynarodowych aneuropy.

Teraz oto „Wiad. Lit." zamieściły fotografję takiej uczty, Siedzą tam za stołem nad kieliszkami wina pisarze Iwaszkiewicz. Rygier-Nałkowska, Kaden-Bandrowski, Leon Schiller (teatrolog paneuropejski), Oskar Halecki (prof. paneur.). Kogóż ta propaganda podejmuje? Pp. księcia de Rohan i Al. Lednickiego... Cóż to jest? Są to „rzecznicy współpracy intelektualnej narodów Europy" (dosłownie). Nikt nie słyszał nigdy o pracy intelektualnej tych komiwojażerów masonerji i nikt nie przypuszczał, że p. Lednicki wypłynie tędy — przez literaturę! Jak te kopidołki się zwąchują! P. Lednicki już robił Paneuropę w czasie wojny, ale z tego musiał się przez pięć lat po sądach tłumaczyć. Jak się pokazuje, to była „współpraca intelektualna...".

*

W tym samym numerze „Wiad. Liter." dają inną jeszcze ilustrację: „Marek Chagall z córką". Duży, młody żyd z dorastającą dziewczyną zupełnie nagą. Ma to być według objaśnienia korespondenta Edwarda Woronieckiego malarz paryski: „ciekawa kombinacja natchnienia, wychodzącego z rosyjskich głębin ludowych z semickim zjadliwym i rubasznym dowcipem". Być może, że to ciekawe, ale fotografja tego żyda z córką robi wrażenie propagandy w dziedzinie „współpracy handlu żywym towarem narodów Europy". Mieliśmy już w tem piśmie niejedną propagandę homo - seksualizmu, a teraz dziewczynka nieletnia! To mają być wiadomości... literackie.

*

Daleko idący w machinacjach podziemnych „kopidołek" państwa polskiego „Głos Prawdy" jeszcze dalej się posuwa w drwinach wobec tych, którym pozornie służy. Przed Imieninami pierwszą stronę zdobi napisem „Dzień imienin Komendanta — radosnem świętem całej Rpltej", a drugi tytuł: „Wybuch strajku generalnego w Łodzi — w sobotę" (19-go). W dzień Imienin daje karykaturalny portret, a pod nim wiersz z „Wyzwolenia", z którego wynika, że Solenizant jest Konradem, owym Hamletem, o którym się nie wie „czy wierzy, czy tylko marzy", „czy wie już, czy nie wie nic". Po Imieninach „Głos Prawdy" w przeglądzie prasy zdaje sprawę z nastrojów opinji. Przytacza frazesy z pism popierających rząd: „Epoki", „Kurjera Porannego" i „Ekspresu Por." (jedno żydowskie i dwa rynsztokowe) — i zamyka taką konkluzją: „Oto są prawdziwe nastroje, uczucia i myśli narodu. Entuzjazm jest tak powszechny, że innych głosów nie słychać".

A przecież szerość udzielanego poparcia powinna być — zdawałoby się — pierwszym warunkiem moralności sanacyjnej.

TREŚĆ:

Granica Renu *Viatora.* — Kto przygotował rewolucję 1830 r.? *J. Kozolubskiego.* — Pozytywność i organiczność myślenia *Z. Żółtowskiej.*—Marcelina Dąrowska *T. Grabowskiego.*—Nieznane poezje Kasprowicza *A. Münnicha.*—Liberum Veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Polityka i gospodarstwo; Kraków czy Krzemieniec? — Nauka i literatura (Nauka polska *A. S.*; Książe niezłomny *A. Wysockiego* i in.) — Teatr *Z. W.* — Nowe książki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM